Nr 40 (1602). Warszawa, 7 października 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.

Szanownym abonentom przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał IV.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Fatum tureckie.

Wyprawa włoska na Trypolis i Cyrenaikę, jakkolwiek istnienia Turcji nie stawia na kartę wbrew alarmującym wieściom i nawet nie jest groźna dla innych posiadłości tureckich w Azji i Europie, tym nie mniej spada na głowy reformatorów ottomańskich jako nowa i bardzo dotkliwa klęska.

To też pierwszym i prawie jednomyślnym odruchem opinji państw kulturalnych na wieść o najeździe włoskim było karcące niezadowolenie. Prasa liberalna całego świata orzekła zgodnie, że Włochy, stając brutalnie wpoprzek pokojowej, odradzającej się Turcji, zawinili poważnie wobec postępu i cywilizacji.

Młodoturcy zasłużyli sobie istotnie na lepszy los, niż ten, który przypadł im w udziale. Jest coś niezmiernie tragicznego w tym rozpaczliwym zmaganiu się reformatorów i patrjotów tureckich z trudnościami i przeszkodami, które wyrastają im z pod nóg i piętrzą się dokoła z fatalną, żywiołową mocą. Jest w tym tragizmie jakaś posępna konieczność, jakieś nieubłagane przeznaczenie... Nie licząc podziemnych knowań i spisków reakcyjnych tudzież głuchej, a groźnej niechęci fanatycznego kleru i ciemnego chłopstwa tureckiego, w krótkich odstępach czasu zwalają się na reformatorów kolejno: zabór Bośni i Herzegowiny, rozruchy w Macedonji, walki Kurdów i Ormian, powstanie arabskie, kreteńskie, albańskie — a wreszcie najazd Włochów na Trypolis zdaje się przepełniać tę czarę goryczy, kłopotów i cierpień.

I otóż rewolucja turecka, dokonana pod najlepszą wróżbą, witana z uniesieniem radości na całej przestrzeni olbrzymiego państwa, mając po swej stronie szczerą sympatję liberalnego świata i aprobatę wszystkich rządów — ten przewrót epokowy, jeden z najpiękniejszych w dziejach tryumfów ducha wolności nad tyranją i rutyną—kruszy się, zatraca, niszczeje w bezpłodnym szamotaniu. Wolne od przeklętego jarzma Abdul-Hamidowych rządów, pod wpływem ożywczym nowoczesnego ducha, miało państwo tureckie iść wielkiemi kroki ku świetnej przyszłości, w całym blasku szczęścia i dobrobytu. Jak rychło i jak doszczętnie rozwiały się te miraże!

Złe Fatum zawisło nad Turcją. Na imię mu: przeszłość.

Nieubłagana i mściwa staje przeszłość przed obecnymi kierownikami państwa, ściąga ku ziemi polot ich szczerych zamiarów, mrozi zapał, wiąże ręce i wzrok im przesłania.

Przypomina im ona — i całemu światu — że jak okiem zasięgnąć, było panowanie tureckie zaborem, najazdem, gwałtem i uciskiem, że to, co słodkim imieniem ojczyzny nazywają, nie jest ich ojczyzną, lecz ziemią cudzą, zbrojnie zdobytą i grabioną całymi wiekami przez hufce żołnierskie Osmanlisów, którzy w niszczącym pochodzie przez trzy kontynenty zdążyli wytracić tuzin narodów, zlupić cztery cywilizacje, a wzamian nie stworzyć żadnej...

Rządy sułtanów były panowaniem łupieżczej kasty, która u szczytu potęgi, niezdolna do ewolucji, ani do pracy twórczej, upatrywała swą misję państwową w gnębieniu zdobytych krain, w srogim ucisku i wyzysku kresów obcoplemiennych, na których spoczęło całe brzemię chciwej, łupieżczej, nieudolnej i bez-

względnej gospodarki żołniersko-urzędniczej. Martwota wiekowego zastoju, przerywanego niekiedy dzikim zgiełkiem „pogromów", buntów rozpaczliwych i krwawych uśmierzeń — oto dzieje rządów starotureckich.

Turcja nie na własnej panuje ziemi, i to jest jej przekleństwem.

Żadna reforma nie może odrodzić znagła organizmu, przeżartego do szpiku jadem takiej przeszłości.

Turcja dzisiejsza jest zbiorem posiadłości zdobytych w różnym czasie.

Zacznijmy od Albanji: ten kraj nigdy nie znosił jarzma sułtanów, nawet wówczas, gdy formował nadworną gwardję i pełnił straż honorową w Ildiz-Kiosku. Macedonja dojrzała już do samorządu i aby nie być rozerwaną przez Serbów, Bulgarów i Greków zgadza się zachować lojalne wobec Turcji stanowisko, żądając wzamian autonomji, z którą się młodoturcy nie kwapią.

Na półwyspie bałkańskim i w Konstantynopolu jest żywioł turecki w *mniejszości*, co stanowi najsłabszą stronę rządów sułtańskich w Europie.

Azja Mniejsza, główne centrum rdzennej, rolniczej ludności tureckiej, posiada po brzegach miasta handlowe greckie, a wnętrze jest w rękach Ormian, górujących gospodarczo i umysłowo nad ciemnym chłopstwem muzułmańskim.

Syrja i Mezopotamja są to raczej arabskie niż tureckie kraje, a w Palestynie muszą władze tureckie uznawać wpływy obce, opiekujące się miejscową ludnością chrześcjańską.

W Arabji wrą bunty przeciwtureckie, zaś Egipt, odrodzony i dźwignięty przez Anglików, bynajmniej nie wzdycha do opłakanej tureckiej gospodarki, przekładając nad to samodzielność lub autonomję pod berłem W. Brytanji. Trypolis, o który się Turcja tak rzewnie upomina, dostał się w jej ręce przed stu niespełna laty i nic napewno nie straci, jeśli się z tych rąk wydostanie.

Ogółem włada Turcja dziś jeszcze nad zbiorem najstarszych i najpiękniejszych krain Starego Świata, między trzema lądami leżących, na rozstaju wielkich dróg historycznych, które łączą Europę z Indjami i Chinami, pośrednicząc w stosunkach wzajemnych $^4/_5$ ludności całego globu.

I cóż? *Nigdzie* panowanie tureckie nie krzewiło postępu, nigdzie nie było zdolne zachować bodaj dawnego poziomu cywilizacji. Najgorsza na ziemi gospodarka turecka, niezdolna eksploatować przyrodę, żyła uciskiem ras obcych, zmieniając żyzne dawniej kraje w jałowe pustynie.

Światlejsi Turcy zdawali sobie z tego sprawę, lecz byli tak samo bezsilni, jak i obecni reformatorzy. W r. 1890-ym ówczesny minister robót publicznych Hassan-Fehmi złożył sułtanowi raport o wewnętrznym stanie państwa tej treści: „Nigdzie dróg, ani mostów, ani portów, wszystko dzikie i zapuszczone. Bezładnie torowane nowe drogi, nieukończone i porzucone w połowie, gorsze są od poprzednich. Państwo posiada ziemie najzasobniejsze na świecie i obfitujące w bogactwa przyrodzone, ale fatalna gospodarka władz tamuje wszelki postęp. Po wsiach srożą się chroniczne głody i choroby... Rzeki bez regulacji niszczą zasiewy, pustoszą brzegi, tworzą bagna i ławice piasku, wobec czego ludność uchodzi w góry. Całe przestrzenie leżą ugorem, miasta i wsie pustoszeją, oko wędrowca widzi wszędzie posępne ruiny".

W specyficznej tej gospodarce kryje się zatym drugi powód niepowodzeń tureckich. A jest i trzeci. Młodoturcy mogliby może nowego tchnąć ducha w ludność podupadłą i gnuśną, gdyby dzieło reform postępowych zaczęli od nadania kresom najszerszej autonomji, sobie zostawiając centralną nad wszystkim kontrolę i organizację sił wojennych.

Tego jednak nie uczyniono i to jest bodaj śmiertelnym błędem rewolucji młodotureckiej.

Zmieniła się forma rządów w Stambule, ale duch pozostał ten sam, oprymujący duch centralizmu, pełnego zawistnych podejrzeń i władczych zakusów. Pozostał dawny system gnębienia kultury obcej, narzucania języka tureckiego w szkole, sądzie i urzędzie,

---

5)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

— Nie należy wierzyć anonimom — rzekł sentencjonalnie Andrzej.

— Nie zawsze można nie wierzyć — odpowiedział Jan, otaczając się obłokiem dymu. Często anonimy nie są niczym innym, jak tylko prawdą.

— Czy i to, co pisała o szwaczce, też było prawdą? — zapytała lekko podrażnionym tonem pani Emilja. — Nie pojmuję Janku, jak możesz tak mówić!

Jan spojrzał na nią uważnie.

— I nie mylisz się — rzekł po chwili, jakgdyby z wahaniem. — To, co pisała studentowi szwaczki o jego narzeczonej, było prawdą. Ona istotnie dwa razy wróciła do domu po dwunastej godzinie, będąc odprowadzoną przez młodego człowieka.

— Ale ten młody mężczyzna był jej stryjecznym bratem, z którym ją nic nie łączyło.

— O tym anonim nie wspomina, bo to nie do niego należy. Anonim podaje fakt, bez komentarzy. Interesowani niech się trudzą rozwiązaniem sytuacji. A czy ją łączyło co z nim, czy nie — kto to może wiedzieć. W każdym miłosnym stosunku najstraszniejsze jest to, że bywa tysiąc okoliczności, w których kobieta może zdradzić mężczyznę — ale może i nie zdradzić! Otóż to fatalne: *może nie zdradzić!* Gdzież jednak pewność, że tego nie uczyni? Kobieta, której upodobania zmieniają się tak prędko...

— A wiara? — rzekła pani Emilja, patrząc jasnym wzrokiem na męża.

— Wiara?... — Po ustach Jana przemknął uśmiech lekkiej ironji. — Bądź przekonana, że zła to sprawa, która wymaga wiary... na swoją obronę! Człowiek powinien człowieka *widzieć* a nie *wierzyć*. Bo w tym drugim wypadku, pierw czy później, zostanie zawsze oszukany, a w pierwszym, może do tego niedopuścić!

— Więc sądzisz, że niema ludzi uczciwych? — zapytał Andrzej, patrząc na niego badawczo.

tłumienia oświaty i krępowania sił żywotnych krajów i ludów wchodzących w skład państwa.

I dlatego Młoda Turcja niedomaga, dlatego przewrót był jałowy, bo nie zastosowano jedynego zgodnego z postępem sposobu współżycia w państwach złożonych: autonomji. A kiedy wreszcie opatrzą się kierownicy nowego rządu i zaczną wyzbywać się nałogów centralistycznych — będzie już może zapóźno.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Wojna włosko-turecka).

Zatarg pomiędzy Francją i Niemcami wszedł ostatnio w fazę przewlekłych rokowań, mających ustalić i złagodzić zarys niezaprzeczonej klęski dyplomatycznej Niemiec; nastrój w Europie uczynił się spokojniejszy, giełdy i banki poczęły wracać do równowagi po świeżych alarmach, gdy nagle, d. 27 września, włoski minister spraw zagranicznych mrgr. di San Giuliano wystosował do Wysokiej Porty zwięzłe ultimatum tej treści: ponieważ poddani włoscy w dwóch wilajetach afrykańskich, Tripolis i Cyrenajce, narażeni są na niebezpieczeństwo życia i mienia tudzież na szykany ze strony władz tureckich, przeto Włochy postanowiły zająć Tripolis i Cyrenajkę i żądają, by Turcja w ciągu 24 godzin zobowiązała się przyzwolić na tę okupację i nie stawiać żadnych w tej mierze przeszkód pod grozą natychmiastowej wojny.

Rada ministrów tureckich, zebrana na drugi dzień pod przewodnictwem sułtana, odrzuciła ultimatum włoskie, podając się zarazem do dymisji. Wojna wybuchła.

Flota włoska rozpoczęła akcję zaczepną na morzu, topiąc dwa torpedowce tureckie pod Prewezą i blokując wyjście z Dardanelów, by ułatwić statkom transportowym przewiezienie jednego lub dwu korpusów armii na brzeg trypolitański; jednocześnie rozpoczęto blokadę portu Tripolis, a działa stojącej w pobliżu eskadry włoskiej zwrócone na miasto, gotowe są zacząć w każdej chwili bombardowanie. W tych warunkach zdobycie miasta jest kwestją najbliższego czasu.

Stanowczość, a nawet brutalność rządu włoskiego wobec pokojowego usposobienia Turcji, która zwróciła się do mocarstw z prośbą o pośrednictwo — wywarły wrażenie naogół ujemne.

Opinja liberalna wszystkich krajów potępiła bardzo surowo niepraktykowany w czasach ostatnich sposób działania, kładąc słuszny nacisk na krzywdę, jaka się dzieje młodej Turcji konstytucyjnej w najcięższej fazie prac nad odrodzeniem państwa. Ze swej strony muzułmanie pozostający pod panowaniem Anglji, a jest ich dziesiątki miljonów, zwrócili się do Londynu z protestem przeciw zamierzonemu zamachowi na całość Turcji.

Jakoż ludziom gorętszym mogło się zdawać, że zabór dwóch wilajetów afrykańskich pociągnie za sobą nieunikniony rozbiór i śmierć „chorego człowieka". Na nic podobnego się nie zanosi. Zbyt wiele potężnych czynników czuwa nad zachowaniem *status quo* na półwyspie bałkańskim, a scheda po mniemanym nieboszczyku tak jest złożona i trudna do podziału, że spadkobiercy nieprędko jeszcze pokwapią się o nią.

Istnieją liczne na to dowody. Gdy w pierwszym impecie powodzenia Włosi chcieli wylądować w Albanji, koło Prevezy, natychmiast wystąpiła Austrja z groźnym ostrzeżeniem.

Reichspost, organ austrjackiego następcy tronu, uznał, że „postępowanie Włoch jest niesumiennym obrażaniem Austrji, oraz złamaniem uczynionych względem niej solennych przyrzeczeń. Austrja więc niezwłocznie przekona Włochy, że ich przedsięwzięć wojennych w Albanji nie ścierpi". Austro-Węgry zdecydowane są niedopuścić do działań floty włoskiej na Adrjatyku, żądając umiejscowienia wojny na brzegu afrykańskim w myśl zawartej poprzednio z Włochami tajnej umowy. To też natychmiast po zajściu ogłosiła półurzędowa włoska ajencja Stefani taki komunikat: „Pogłoska o wylądowaniu wojska włoskiego w Prevezie jest zupełnie fałszywa. Rząd włoski chce utrzymać *status quo* na Bałkanach i wszystkie ewentualne dalsze wiadomości o lądowaniu wojsk włoskich w Europie z góry określa jako fałszywe".

O rozbiorze więc Turcji narazie nie może być mowy; najazd Włoch na Tripolis jest natomiast związany z *rozbiorem Afryki*, która to czynność od lat 20 w szybkim idzie tempie i z punktu widzenia polityki postępowej przedstawia się dodatnio, jako nowy, olbrzymi wysiłek twórczej energji Europy na lądzie jałowym, barbarzyńskim i zacofanym.

Trypolis — rzymska niegdyś *provincia Tripolitana* — różne przechodził koleje. Kraj niegdyś kwitnący pod berłem Cezarów i Kalifów, wpadł w wieku

---

— Ja sądzę, że niema ludzi bez namiętności — odpowiedział Jan spokojnie i wyszedł z pokoju.

Oni spojrzeli na siebie zdziwieni. Pani Emilja westchnęła cicho i usiadła przy fortepianie. Andrzej przeszedł za nią do salonu i wtuliwszy się w wielki fotel, siedział nieruchomo.

— Zagrać co panu? — spytała po chwili pani Emilja.

— Jeżeli pani tak dobra... to po staremu Schumana.

Oparł głowę na rękach i słuchał bolesnej pieśni Schumanowskiego *Warum*. Muzyka obejmowała go jak miłosnym uściskiem. Czuł to przedziwne drżenie serca, które duszącym spazmem chwytało go za gardło, odurzało jak dym kadzielnic uroczystego nabożeństwa. W pokoju była cisza wieczorna. Lampa lekko przyćmiona rzucała słabe, żółtawe światło, okrywając półtonem ich postacie i sprzęty salonu. Tylko jasna suknia pani Emilji bieliła się przy fortepianie i dwie jej ręce, jak dwa motyle, o delikatnych białych skrzydłach snuły się nad klawiaturą.

Nagle poeta usłyszał głos Jana i spojrzał zdziwiony.

Jan stał przy stole i wyraźnie zmieszany, szukał czegoś między albumami.

— Zdaje mi się, że zostawiłem tu swoje zapałki — rzekł, mieszając się jeszcze bardziej.

Pani Emilja nie przerywała gry. Poeta zaś nie odezwał się ani słowa. Po odejściu Jana, który po chwili wyszedł, nic nie znalazłszy, Andrzej spojrzał w okno i zobaczył przylepioną do szyby, zgarbioną postać starej panny — sumienia.

Zrobiło mu się duszno i smutno. Anioł śmierci przesunął się koło niego i musnął go swoim skrzydłem — trwoga!... Poeta westchnął, zakrywając oczy jeszcze silniej!

* * *

Właśnie w tym czasie Andrzej przygotował tom poezji i sprzedał go za 100 rubli. Dzień, w którym odebrał pieniądze, był dla niego dniem wesela i radości! Pierwszy tom i pierwsze pieniądze są dla poety tym, czym pierwsza noc poślubna dla kobiety erotycznej. Tego się nie zapomina! Andrzej też, jako istotny poeta z bożej łaski rozporządził pieniędzmi nad wyraz lekkomyślnie, wydając większą ich część — na podarki dla p. Emilji i Jana.

XVI w ręce korsarzy tureckich i był odtąd głównym siedliskiem rozbójników morskich na wybrzeżach północnej Afryki. Rugowali ich stamtąd Anglicy i Francuzi, tocząc zajadłe walki z piratami, wreszcie w r. 1835 stał się Tripolis prowincją turecką, co go bynajmiej nie podniosło pod względem ekonomicznym i kulturalnym. Gospodarka namiestników tureckich dostatecznie jest znana; podczas gdy sąsiednie kraje Egipt i Algier rozkwitły nanowo pod rządami dwóch potężnych mocarstw europejskich, Tripolis przedstawia smutny obraz beznadziejnego zastoju i upadku.

Tymczasem, z drugiej strony morza Śródziemnego, rosnąca energja młodych zjednoczonych Włoch, śladem sąsiedniej Francja parła na południe. Jeszcze w r. 1838 przewidywał Mazzini konieczność ekspansji włoskiej w północnej Afryce. Crispi nosił się z rozległymi w tej mierze planami, a Bismark pchnął umyślnie Włochy ku rywalizacji z Francją, by wprzęgnąć je potem do trójprzymierza. Jakoś nie wiodło się imperjalistom z nad Tybru: Anglja zabrała Egipt, Francja Tunis i Algier; w Abissynji ponieśli Włosi klęskę sromotną, w Maroku utrwalił się już wpływ oręża francuskiego — pozostał Tripolis.

Rząd włoski czekał już tylko chwili odpowiedniej. Chwila ta nareszcie wybiła. Rokowania francusko-niemieckie w sprawie Maroka stworzyły nowy okres tranzakcji na lądzie afrykańskim, przyczym dokonać się muszą liczne zmiany własności, z których przejście Trypolisu i Cyrenajki w ręce włoskie należy do najważniejszych.

Z zagadnień współczesnej polityki marksizmu.

3)

(Dokończenie).

Jeżeli na Zachodzie polityka państwowa przerasta politykę klasy, dążąc do ogarnięcia interesów całego społeczeństwa, to w Rosji polityka owa nie dorasta nawet do interesu burżuazji. Nie służy celom wytwórczości kapitalistycznej, z przyczyny, iż wszelka produkcja, wszelka organizacja jest jej obca. Przyrodzonym żywiołem jej bywa nie system wytwórczości, ale najelementarniej pojęty system rabunkowy. Ostatnie rewizje zgarnęły z niwy biurokratycznej imponujący zaiste plon grabieży, dokonywanych systematycznie na własnym społeczeństwie przez organy państwowe, plon usymbolizowany w homeryczn.j scenie tysiąca oskarżonych, jednocześnie stających przed sądem. System rabunkowy, w zastosowaniu do biurokracji rosyjskiej, nie jest tedy—przenośnią, albo przesadą. Żaden cezar rzymski nie prowadził za swym rydwanem tryumfalnym tylu pojmanych w łańcuchy królów i królików prowincjonalnych ilu ich dzisiaj, za każdym powrotem do stolicy, prowadzi senator rewidujący państwowość rosyjską. Bo każdy biurokrata rosyjski, poczynając od Hurki i Lidwala, a kończąc na Połusztannikowie, w swej komnacie urzędowej jest królem lokalnym albo lokalnym królikiem.

Niemcy mianują siebie państwem bojaźni bożej: Rosja mogłaby nazywać się państwem bojaźni — rewizora, albowiem kara boska jawi się zawsze oczom urzędnika w postaci nieoczekiwanej rewizji.

Biurokracja zaś centralna, wyłaniająca ze siebie perjodyczne rewizji dlaścigania drobnych grabieży, sama jest wcieloną potęgą wyłączonego, zamkniętego w sobie egoizmu, który interesom biurokracji składa w ofierze zarówno byt kapitalisty, jak dolę robotnika. Karmi się zarówno ciemnotą chłopa, wiecznie przymierającego głodem śród najżyźniejszych ziem Europy, jak i przesądnością duchowieństwa. Pielęgnuje bezradność szlachty, jako oparcie swej przewagi i rozpaja wszystkich mieszkańców kraju.

System polityki, wycieńczającej cały obszar życia społecznego w Rosji, święci zwłaszcza na kresach prawdziwą orgję niszczycielstwa. Jeśli w guberniach środkowych machina biurokratyczna, jest balastem, który cięży i przygniata rozwój sił gospodarczych społeczeństwa, to w Królestwie, np. jest ona ptastwem, rozdziobującym zasoby przyrodzone kraju. Jeśli w państwach praworządnych organy władzy publicznej są kanałami energji, która wszelkie inicjatywy prywatne zasila i wspiera z zasobów zbiorowych, to u nas kanały owe tylko łamią paraliżem każde ze strony społeczeństwa twórcze przedsięwzięcie.

To też jeśli utożsamianie państwa z burżuazją jest na Zachodzie Europy nieścisłością, to w stosunku do Rosji staje się ono absurdem, a na grucie Królestwa, poprostu, obłędem.

Obłęd ten od szeregu już lat zbiera ofiary na ubogiej grzędzie naszego ruchu robotniczego i, nieste-

---

Przedewszystkim kupił p. Emilji bronzowy posążek do salonu i srebrną papierośnicę dla Jana. Nie zapomniał również i o sobie, lecz tu wydatki ograniczyły się na słomkowym kapeluszu, rękawiczkach i flakonie perfum.

Wracając do domu jednokonną dorożką na gumach, co jak wiadomo, uchodzi w Warszawie za szyk niezrównany i graniczący niemal z obłędną rozrzutnością, spotkał starą mantylę a w niej pannę Brauman. Chwyciła go żakowska myśl, aby się „sumieniu" ukłonić! Z prawdziwą gracją gentlemana pierwszej klasy uchylił kapelusz przed cuchnącym łachem, który się poruszył niespokojnie. Pierwszy raz Andrzej zobaczył oczy starej panny i miał wrażenie, że spojrzały na niego złe, podstępne źrenice chytrego zwierza. Na razie nie odpowiedziała słowem na widoczne drwiny poety, ale oddalając się, szepnęła tak, że usłyszał wyraźnie:

— Szóste przykazanie: nie cudzołóż!

Drgnął i coś go aż zabolało w piersiach. Przeświadczenie, że stara panna podejrzewa go o miłosny stosunek z żoną przyjaciela, napełniło go trwogą.

Odwróciwszy się za nią, krzyknął na całe gardło:

— Memento mori, stary trupie! — i nie zwracając już na nią uwagi, pobiegł do mieszkania.

Pani Emilja siedziała w salonie, czytając jedną ze swych ulubionych książek. Były to „Kwiatki św. Franciszka". Dobry starzec z Assyżu działał na nią, jak sławny Jean Valjean Wiktora Hugo. Całymi godzinami rozmawiała o nich z Andrzejem, który od czasu sprowadzenia się do Rollów, sam był pełen ewangelicznej dobroci i na wszystko się zgadzał. Wszedłszy do pokoju z posążkiem boga Djonizosa pod pachą, był w nastroju podniosłej radości, w którym człowiek przebacza wszystkie urazy i pragnie cały świat przycisnąć do piersi.

Przywitawszy się z żoną przyjaciela, Andrzej rozwinął podarek i ukłoniwszy się, zawołał:

— Pozwolisz, szanowna pani i żono mojego druha, że oto ten nowy sprzęt zajaśnieje w twoim salonie.

— Poco pan pieniądze wydaje — zawołała pani Emilja, uradowana z prezentu.

— A to dla Jana!

Poeta z tryumfem rozwinął angielską bibułkę, w której była owinięta papierośnica. Na jednej stronie wyryty był monogram Jana, a na drugiej napis: *Nihil est jucundius lectulo domestico.*

C. D. N.

ty, nie wygasa, mimo najsroższe doświadczenia walki ostatniej.

Czyż nie byliśmy, niedawno, świadkami uporu, z jakim pewien odłam marksistów pragnął rozsadzić jedyną, jaka pozostała nam, instytucję społeczno-oświatową?

Ciskać rękawicę Zarządowi Towarzystwa Kultury Polskiej w domniemaniu, że podniesie ją zagrożona tym państwowość rosyjska: można-li wyobrazić sobie dziwaczniejszy niestwór? Zadawać ślepe ciosy instytucji społecznej, dźwigniętej trudem i ofiarą garstki ideowców, w rachubie, że ciosy te odbiją się na skórze państwowej: możnaż pomyśleć karkołomniejszy sposób samobójstwa?

Łacno jest burzyć i podrywać niedołamane przez rząd szczątki instytucji, organizacji kulturalnych i placówek oświatowych; łacno i nawet nie jest niebezpiecznie! Atoli wiedzieć trzeba, że każdy taki cios, w pierś własnego społeczeństwa wymierzony, pomnaża sumę krzywd, przez obcą dłoń zadanych tej że piersi, ale więcej nikogo nie rani.

Bo nareszcie zrozumieć trzeba, że istotą kapitalizmu nie jest wcale wyzysk robotnika. I Marks tego bynajmniej nie uczył. Wszakże on to pierwszy uwidocznił, że *nadpraca*, t. j fakt, iż w społeczeństwach podzielonych na klasy, robotnicy pracować muszą nietylko na siebie, ale i na swych panów, jest równie stary, jak dzieje ludzkie. Nie sądził on nawet za rzecz możliwą, aby w przyszłym ustroju socjalistycznym, robotnik zdobywał „całkowity wytwór swej pracy", z uwagi na konieczność zatrzymania, bądź co bądź, części wytworu pracy, dla opatrzenia kalek wszelkiego wieku i zaspokojenia potrzeb publicznych, które w okresie przyszłym wzrosną prawdopodobnie wielce.

Sam, zresztą, fakt społeczeństwa, — a Marks społeczeńskość mienił wnętrznym rysem natury ludzkiej, — wyłącza możliwość udzielania komukolwiek całkowitego owocu pracy. Cząstka tegoż zawsze ulegać będzie odtrącenia na potrzeby innych, na potrzeby społeczne.

Gdzieindziej też leży rdzeń kapitalizmu.

Rdzenna istota kapitalizmu polega na tym, że dokonał on rozdziału między umysłowością, a pracą ręczną, albowiem, dopiero w ustroju obecnym, działalność kapitalistyczna jawi się jako władza umysłu nad wysiłkiem ramienia.

Kapitał, wcielający w sobie umysłowość, oto ustrój kapitalistyczny!

Z jednej strony ogniskują się w nim wyłącznie czynniki intelektualne wytwórczości, gdy po stronie przeciwnej gromadzą się siły fizyczne tej że wytwórczości. Władze umysłowe rozwijają się tedy z jednej tylko strony, gdy z drugiej skazane bywają na zanik.

Rozwód między umysłowością, a pracą rąk, oczywiście odbywał się stopniowo, i ma swe dzieje. W okresie przemysłu rękodzielnego robotnicy byli członkami mechnizmu żyjącego, gdy w fabryce obecnej wcieleni zostali do mechanizmu martwego, istniejącego od nich niezależnie. P r a c a ż y w a u j a r z m i o n a z o s t a ł a p r z e z p r a c ę m a r t w ą. Biegłość robotnika jakże ubożuchno wygląda wobec olbrzymiej umiejętności, szalonej potęgi sił przyrodzonych, wobec całego ogromu pracy społecznej wcielonej w system mechaniczny, wobec tych wszystkich czynników, stanowiących o przewadze kapitalisty! W mózgu kapitalisty, monopol na posiadanie maszyn zlewa się z samym istnieniem maszyn.

Lecz skoro ustrój kapitalistyczny nie jest już dla nas tajemnicą, skoro znamy jego istotę, — rozejrzyjmy się wokół siebie, po układzie sił i stosunków społecznych w naszym kraju, i zapytajmy, czy polski kapitalizm stał się rzeczywiście groźnym niebezpieczeństwem dla ludu naszego?

Uprzytomnijmy sobie stan posiadania polskiego w zakresie wielkiego przemysłu, a odpowiedź może stanie się zbyteczna. Najpoważniejsze przedsiębiorstwa fabryczne znajdują się w rękach niemców, francuzów, szwedów, żydów i belgów. Najruchliwsze, najrozleglejsze operacje handlowe spoczęły w rękach żydów. Eksploatacja skarbów mineralnych takoż ogarnięta jest przez cudzoziemców.

Ludność polska pozostała żywiołem wybitnie rolniczym; w trzech czwartych, składając się z włościaństwa, sama uprawia rolę, z której żyje. Co się tyczy majętności obszarniczych, to te, acz zwolna przechodzą do stosowania systemów gospodarki intensywnych, dalekie są, z samej natury rolnictwa, od owych znamion kapitalizmu, jakie właściwe są przemysłowi fabrycznemu. Gospodarstwo rolne, przy najszerszym użyciu maszyn, nie powoduje owego rozdziału między inteligencją, a robocizną, tak charakterystycznego dla wielkiej produkcji maszynowej w przemyśle. Maszyna rolnicza nie ujarzmia robotnika, ale wyzwala; nie przytępia jego umysłowości, ale budzi ją i rozwija.

Nakoniec, jedna jeszcze uwaga. Dziwnie wygląda skierowany przeciw burżuazji polskiej zarzut wyłącznego ogniskowania w swym łonie intelektu, a na tym polega właściwe zło kapitalizmu! z uszczerbkiem zasobów umysłowych robotnika i kosztem klasy robotniczej! Dziwnie brzmi to oskarżenie, podniesione przeciwko cząstce narodu, która wraz z resztą społeczeństwa systematycznie odzierana jest z oświaty, z bibljotek, wszechnic, akademji, muzeów i, niestety, z najzwyklejszych nawet szkół niższego i średniego typu. Bujna, żywotna, pewna siebie wytwórczość nie może powstać i rozwinąć się w kraju pozbawionym niemal doszczętnie szkół technicznych i zawodowych. Jedną z przyczyn, dla których kapitały polskie drzemią bezczynnie, gdy cudzoziemcy krok za krokiem wypierają nas z posad rodzimych, jest nieudolność zawodowa ich posiadaczy, bojaźń inicjatywy przedsiębiorczej, wywołana nieznajomością sił i środków działania.

Trzebaż jeszcze osobliwej ironji, aby szczupłe grono związanej w organizację inteligencji, podjąwszy zadania oświaty i kultury na wyjałowionym ugorze społecznym, spotkało się właśnie z przeciwdziałaniem i protestem socjalizmu, niosącego skargi i krzywdy ludu roboczego!

Aliści wsłuchajmy się w te skargi i krzywdy: rozpoznamy w nich krzywdę i skargę wspólną narodu polskiego.

One niechaj nauczą nas ostrożności czujnej i bacznej skrupulatności w przenoszeniu analogji ze świata obcego do warunków naszego bytu, które podobnych sobie nie mają.

St. Romanowski.

W poszukiwaniu drogowskazu.

I.

Przełom i przełomy.

Żadne społeczeństwo nie dochodzi nigdy do takiego stanu równowagi w stosunkach czy to społecznych, czy politycznych, aby mogło powiedzieć sobie: oto wszystko jest w porządku, zdobyliśmy formy doskonałe, w których spokojnie żyć można, nic w nich nie zmieniając.

Stan taki przeczyłby istocie życia, które jest ciągłym ruchem.

Każda nowa forma, czy to społeczna, czy polityczna, już w chwili swego powstania, jest zwalczana i nie było nigdy takiej, która by powiedzieć o sobie mogła, że zadowoliła całe społeczeństwo, wszystkich bez wyjątku, że nie wymaga zmian lub poprawek.

Niedostateczność zaś każdej formy jest tak wiel-

ka, że najreakcyjniejszy rząd nawet, któremu dana forma służy, zajęty jest bezustannie pracą reformatorską, jeżeli nie u podstaw organizacji, to w jej szczegółach.

Prawo jest ciągle stającym się bezprawiem, jak mówi Wawrzyniec Stein; to też ludzie ciągle i wszędzie szukają wskazań ku poprawie warunków społecznych i politycznych.

Kiedy to poszukiwanie dotyczy form zasadniczych, kiedy prawo znalazło się w zbyt rażącej sprzeczności z wymaganiami życia, kiedy wreszcie warunki zewnętrzne wytwarzają położenia nieprzewidziane i niezgodne z dotychczasowym rozwojem, poszukiwanie wskazań staje się naglącym, a okres tych poszukiwań nazywamy chwilą przełomową.

W zależności od punktu naszego widzenia, nazwę przełomu nadajemy wypadkom mniej lub więcej ważnym.

Dla polityki bieżącej każda zmiana osobista, czy to w rządzie, czy w układzie stronnictw, każda mowa wybitnego działacza i każde głosowanie w parlamencie, stanowią fakty wielkiego znaczenia

W odleglejszej perspektywie historycznej zlewają się one z pewnymi ogólnymi prądami, nurtującymi społeczeństwo, z wypadkami długotrwałymi, bardzo głęboko sięgającymi w życie narodu.

To też, gdy dla polityki bieżącej przełomy są bardzo częste. dla historji są o wiele rzadsze.

U nas w ostatnich czasach nadano nazwę faktu przełomowego, położeniu, w którym się znalazło stronnictwo narodowo-demokratyczne po ogłoszeniu swej rezolucji w sprawie szkolnej.

I zapewne z punktu widzenia polityki dnia jest to zdarzenie niemałej wagi, jako pobudka do nowej formacji opinji publicznej szerokiego ogółu.

My przeżywamy wszakże przesilenie głębsze, w którego łańcuchu przełom ostatni jest jednym zaledwie, maleńkim ogniwem. Nasza chwila przełomowa trwa od lat stu kilkudziesięciu, a właściwie, dłużej nawet. Brak równowagi politycznej jest stałym objawem naszego życia.

Liczne zmiany rządów, a potym organizacji państwowej i administracyjnej naszego kraju, zmiany kierunku jego zarządu, ciągłe przeobrażenia instytucji państwowych, zmiany prawodawcze, wprowadzane często w drodze administracyjnej a nawet w drodze interpretacji, walka o zaspokojenie potrzeb narodowych, kulturalnych i ekonomicznych, przy nienormalnych warunkach ich rozwoju i wiele innych faktów, od nas niezależnych, zmuszały nas do bezustannego szukania „wskazań", szukania dróg działania politycznego.

Chwila przełomowa nie ustawała ani na dzień jeden.

To trzeba się było przystosować do rządów pruskich i austrjackich, to do Księztwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, to znowu przeżyć jego upadek po 1830 r. i likwidację wszelkiej prawie odrębności naszego kraju po 1863 r. i zlanie go nietylko polityczne, ale i administracyjne z Cesarstwem. W ostatnich czasach zaszły znowu wypadki, które do wybitniejszych chwil przełomowych zaliczyć należy. Był to 1905 rok, oraz reakcja, która wkrótce po nim nastąpiła i trwa dotychczas.

Jeszcześmy nie zdążyli się zorjentować w sytuacji, wytworzonej przez Ukaz październikowy, a już trzeba było szukać nowych „wskazań". Potrzeba ich wszakże teraz jest większa, niż kiedykolwiek.

Do 1905 r. pokolenia dziś żyjące, usunięte zupełnie od życia politycznego, od wszelkiego udziału w rządzie, a nawet w administracji kraju, pozbawione wszelkiego wpływu na jego najżywotniejsze sprawy, przestały, jako ogół, zajmować się zagadnieniami politycznymi.

Od owego roku wszakże położenie się zmieniło: społeczeństwo może przemawiać, przynajmniej o wiele otwarciej, niż przedtym, bierze udział w ciałach prawodawczych, i, choćby wpływ jego tam był nieznaczny, jest w każdym razie pewnym udziałem w zarządzie państwowym. Jeśli nie mamy wpływu stanowczego, to możemy przynajmniej zaznaczyć swoje stanowisko wobec spraw państwowych i administracyjnych, co wiąże je ściślej z naszym życiem, wzbogaca naszą myśl polityczną treścią realną, zapoznaje ogół, choć powierzchownie ze skomplikowanym aparatem życia państwowego, jednym słowem, kształci politycznie.

A choć wykształcenie to w naszych warunkach ani kompletnym, ani normalnym być nie może, choć daje minimum tego, co wykształcenie polityczne dać może i powinno, w każdym razie jest to lepsze, niż dawna nieświadomość, a co zatym i zobojętnienie dla spraw kraju.

Od 1905 r. społeczeństwo już jako ogół dąży do stworzenia sobie dyrektywy politycznej, która dawniej była troską bardzo nielicznych grup lub jednostek. A z nastaniem reakcji, szczególniej w ostatnich latach, wobec nowych zawodów, „szukanie wskazań" znowu się wzmogło. Świadczą o tym prace Dzieduszyckiego, Milewskiego, Studnickiego, Filipowicza i innych, nie licząc ogromnej ilości pomniejszych broszur i artykułów dziennikarskich.

Zrodziła je dążność do znalezienia drogi dla celowej i racjonalnej akcji narodowej, która „daje im prawo do zaszczytnej może, ale też niebezpieczne", ze względu na wymagania, nazwy „syntez narodowych".

Daleki jestem od zuchwałego zamiaru powiększania ich liczby, nie dla tego tylko, że nie czuję dość sił, aby podjąć tak olbrzymie dzieło, ale i dla tego, że nie sądzę, aby „synteza polityczna" znajdowała się w granicach świadomości ludzkiej. „Synteza" zgodna z całokształtem życia rzeczywistego, zgodna z wypadkową ścierających się sił społecznych, jest, przynajmniej dotychczas, dla umysłu ludzkiego niemożliwa i niedostępna. To, co niektórym wydaje się „syntezą", obejmującą całokształt życia i odpowiadającą rzeczywistości, jest jednostronną konstrukcją umysłową, wewnętrznie skończoną i logiczną, ale bynajmniej nie stanowiącą prawdy przedmiotowej.

Zresztą i taka jednostronna konstrukcja nie jest w tej chwili jeszcze moim zamiarem. Bo oto nastręczyło mi się inne pytanie, a mianowicie: w jakich warunkach subjektywnych i objektywnych poszukujemy swego drogowskazu politycznego?

Pytanie to nasuwa nam nietylko wspólna wszelkiemu poznaniu potrzeba oceny narzędzi twórczych, ale w danym wypadku, także szczególne warunki, w których od lat tylu kraj nasz się znajduje. Jeżeli dla każdego badacza politycznego, wycieczka przedwstępna w dziedzinę sokratesowego: poznaj samego siebie, jest pożyteczną, to dla naszego badacza jest ona, jak zobaczymy, konieczną, ze względu na wielorakie wpływy, które działały na nasze umysły nie bez ujemnych przeważnie następstw.

W epizodzie przełomowym 1905 roku i w tym, który przeżywamy obecnie, ujawniły się one bardzo wybitnie, a w poszukiwaniu drogowskazu pominąć ich nie możemy, stanowią one bowiem ważki pierwiastek naszych instynktów politycznych.

Józef Lange.

Wieś polska.

II.

Higjeną ludu wiejskiego interesowano się u nas już na początku stulecia przeszłego, o czym świadczy praca d-ra Fjałkowskiego — o zdrowotności ludu wiejskiego, nagrodzona w r. 1819 przez Towarzystwo

przyjaciół nauk. Praca ta, prawie przed stu laty wydana, z małymi zmianami mogłaby nawet dziś być aktualną i gdyby ją jaki figlarz przedrukował, dał jej szatę z datą r. 1911 lub 1912-go, niejeden czytelnik mógłby przypuścić, że dr Fjałkowski jest człowiekiem, żyjącym w dobie obecnej. Nowe wydanie tej pracy byłoby zarazem smutnym świadectwem stuletniego zastoju w pochodzie zdrowotności we wsi polskiej. W późniejszych czasach nad higjeną wsi pracował Bokiewicz, następnie wydział higjeny ludowej drugiej wystawy zdrowotnościowej w Warsz. Materjał ten, opracowany przez d-rów Tchórznickiego i Dobrzyckiego wzięło w posiadanie warszawskie Towarzystwo higjeniczne i zużytkowało w dalszym ciągu swych prac w tym zakresie.

Wogóle przyznać należy, że nasze Towarzystwo higjeniczne więcej niż jakakolwiek inna instytucja poświęciła uwagi i pracy sprawom higjeny wsi polskiej. Między innymi szczerze jej jest oddany dr. K. Chełchowski, który w r. 1903, podczas narad nad higjeną prowincji, zwołanych w Warszawie, wypowiedział godne podkreślenia uwagi o zadaniach Towarzystwa higjenicznego w zakresie zdrowotności ludu.

Ta akcja wieloletnia, jaką owa instytucja prowadzi w kraju w sprawie uzdrowienia wsi, jest u nas jedyną systematyczną i w pewnej mierze zorganizową pracą społeczną na tym polu. Tymbardziej zasługuje ona na uwagę, że do tej pracy wciągnięto nietylko lekarzy ale także sfery ziemiaństwa i wogóle inteligencję wiejską. Na kwestjonarjusze, dotyczące różnych stron bytu ludu wiejskiego, przeważnie napłynęły odpowiedzi ze sfer ziemiańskich, co tym bardziej jest znamienne, że kwestjonarjusze rozsyłane ongi przez wydział rolny ziemianom w sprawach rolniczych i gospodarczych w większości wypadków pozostały bez odpowiedzi. Świadczy to, że albo ziemianie więcej dbają o sprawy społeczne niż osobiste gospodarcze, albo, że w Towarzystwie higjenicznym skupili się tylko tacy właściciele ziemscy, których poza własną rolą żywo obchodzą sprawy szersze, a więc i położenie ludu. To drugie przypuszczenie nasze bardziej jest zbliżone do prawdy, o czym zresztą świadczą prace wybitniejszych ziemian w zakresie potrzeb higjenicznych ludu polskiego. Bądź co bądź, jest faktem godnym uwagi, że w towarzystwach rolniczych opracowywano szereg spraw, posiadających ścisłą łączność z zadaniami Towarzystwa higjenicznego. Tak np. między innymi p. Płoski opisywał zbiorową organizację pomocy lekarskiej dla służby folwarcznej w jego okolicy, pp. Świeżyński i Choromański domagali się wielu zmian na lepsze w mieszkaniach dla służby folwarcznej; jeszcze dawniej p. Bolesław napisał (nagrodzoną) rozprawę o higjenie żywienia ludności wiejskiej. P. Karski nawoływał do zakładania ochron wiejskich. Inni pisali o zabezpieczeniu robotników wiejskich od wypadków przy obsługiwaniu maszyn rolniczych. Dużo spraw, posiadających łączność z higjeną ludu, poruszył w swoich pracach p Władysław Grabski. Wreszcie na obrady higjeniczne, zwołane w r. 1903, sekcja rolna opracowała wartościowy i źródłowy referat o możliwych do urzeczywistnienia postępach w zakresie higjeny wsi i osad. Wogóle wydział zdrowotności ludowej przy Towarzyst. higjenicznym miał w żywiole ziemiańskim bardzo pożytecznych współpracowników.

Uczestnictwo inteligencji wiejskiej w pracach tej instytucji ogromnie ułatwiało badanie potrzeb higjenicznych ludu wiejskiego.

Towarzystwo higjeniczne niejednokrotnie obradowało nad stanem higjenicznym szkół wiejskich, nad tym, jak owe szkoły budować i jaki w nich powinien obowiązywać regulamin higjeniczny. Natomiast stosunkowo mały nacisk kładziono, przynajmniej w pierwszych latach istnienia Towarzystwa, na potrzebę ochron, żłobków, szwalni, domów sierot. Na to właśnie zwracał uwagę dr Chełchowski już w r. 1903. „Aż wstyd, doprawdy, — mówił on — jak śmiesznie mało mamy tych zakładów. Przecież u nas po wsiach niema więcej niż kilkanaście ochron, i to przeważnie w majątkach arystokracji... Mniejsza już o pożary, wzniecane przez dzieci, zostawione bez dozoru. Ależ corocznie powtarzają się setki pełnych grozy wypadków śmierci wśród dzieci, które, zostawione same sobie, palą się, topią, giną z poparzenia, ba — pożarte bywają przez świnie. A dalej — przecież to właśnie w ochronie młode pokolenie nauczy się myć, czesać, dbać o schludność i nabyte przyzwyczajenia przenieść do domu rodzicielskiego. Zewsząd coraz częściej słychać narzekania na zdziczenie i szkodnictwo wyrostków, na bezeceństwo pastuszków. Właśnie ochrony i sale zajęć zapobiegłyby temu, wpajając w dzieci pewne uobyczajenie i karność, przyuczając je do godziwych rozrywek i pracy".

Dziś już niema takich jak dawniej trudności w uzyskaniu pozwolenia na zakładanie ochron. Co zaś do środków materjalnych, także niezbyt wiele potrzeba na to. Według obliczeń d-ra Chełchowskiego, 300 rb. rocznie wystarczy na ochronę.

Jedną z ważnych potrzeb jest pomoc lekarska dla służby folwarcznej, którą parokrotnie poruszali nasi higjeniści na swych obradach. W praktyce jednak sprawa ta posuwa się bardzo powoli. Poruszał ją ongi dr Dunin. Ze względu, że dla zwykłego włościanina opłata za lekarstwo w aptece stanowczo jest za wysoka, radził on, ażeby lekarze, praktykujący śród ludu, sami wydawali lekarstwa swym chorym.

O pomocy lekarskiej gminnej w Królestwie Polskim mamy cenną pracę d-ra Henryka Fidlera. W obecnych warunkach pomoc ta jest bardzo utrudniona Oto cyfry:

Liczba lekarzy w r. 1902 wynosiła w Królestwie Polskim 1,723 a liczba ludności około 10-ciu miljonów. Po odliczeniu Warszawy, na resztę Królestwa Polskiego z ludnością 9,300,000 przypada lekarzy 855, t. j. jeden lekarz na 10,865 ludności i na 174 wiorsty. Dane te, zaczerpnięte z pracy dr J. Zawadzkiego („Reforma pomocy lekarskiej w Królestwie Polskim") pochodzą z przed 9-ciu lat; od tego czasu stosunek cyfrowy zmienił się, ale na niekorzyść pomocy lekarskiej, gdyż wzrosła ludność a natomiast nie wzrosła w takim jak dawniej stosunku liczba lekarzy, ze względu, że od kilku lat nie mamy wszechnicy, a ci, którzy kończą lecznictwo w Rosji, o ile wiemy, nie spieszą na praktykę do Królestwa Polskiego. To też pomoc lekarska dla ludu jest prawie niedostępną. A jednak, zdaniem d-ra Fidlera, niemożebne jest dostarczanie pomocy lekarskiej całej ludności bez wyjątku, kosztem płaconego przez nią podatku w postaci, proponowanej przez rząd Pomoc bezpłatna, w naszych warunkach, możliwa jest tylko dla ubogich.

„Do rzędu urządzeń społecznych niewątpliwie należy i instytucja pomocy lekarskiej dla ludu. Korzystać z niej powinni wszyscy, lecz w różnym stopniu. Biedni powinni otrzymywać pomoc lekarską we wszelkiej postaci bezpłatnie, czy to w szpitalu, czy ambulatorjum szpitalnym, czy u siebie w domu, zaś zamożni korzystać będą z bezpłatnej pomocy w szpitalach i z urządzeń sanitarno-zdrowotnych, podnoszących ogólną zdrowotność kraju. Przy obecnym ustroju społeczeństw, gdy biedni są wypadkową pewnych ekonomiczno-społecznych warunków, spada obowiązek opiekowania się biednymi na barki warstw zamożnych. Prawodawstwo samo tego wymaga, żądając np., by za leczenie biednych w szpitalu płaciły gminy i miasta i aby też miasta miały pieczę nad biednymi, kalekami i starcami. Zasadniczą myślą tego urządzenia nie jest bynajmniej poczucie filantropijne, lecz twarda konieczność ekonomiczno-społeczna".

W końcu swej pracy dr Fidler przychodzi do szeregu bardzo ważnych wniosków ogólnych:

1) Należy uprzystępnić pomoc lekarską dla ludu.

2) Urządzić pomoc bezpłatną jedynie dla ubogich.

3) Oddać pierwszeństwo systemowi pomocy umiejscowionej (stacjonarnej).

4) Zwiększyć liczbę łóżek w szpitalach miejskich i utworzyć specjalne oddziały w szpitalach gubernjalnych.

5) Urządzić, *resp.* pobudować ludowe szpitaliki po 20 łóżek w każdym „uczą̨stku".

6) Leczyć bezpłatnie we wszystkich szpitalach.

7) Utworzyć dla każdej gubernji jeden przytułek dla nieuleczalnych chorych na 100 łóżek (przypuszczalnie).

8) Utworzyć dla każdej gubernji jeden szpital dla obłąkanych na 50 łóżek (przypuszczalnie).

9) Koszty leczenia we wszystkich szpitalach i opieki nad nieuleczalnymi pokrywać z podatku, pobieranego na rzecz pomocy lekarskiej ludowej.

10) Znieść wszelkie formalności kancelaryjne przy wstępowaniu do szpitali. Żądać jedynie okazania paszportu.

11) Podzielić Królestwo Polskie na „uczą̨stki" lekarskie z ludnością około 20,000 i przestrzenią około 220 wiorstw kw.

12) W każdym „uczą̨stku" utworzyć wyżej wymieniony szpital. Osadzić w nim lekarza, felczera i dwie akuszerki. Wyznaczyć tyle babek wiejskich na „uczą̨stek", ile w nim jest gmin.

13) Utworzyć dwa gubernjalne oddziały sanitarne.

14) Powierzyć bezpośredni zarząd uczą̨stkiem lekarskim i szpitalom samorządowi gminnemu pod kontrolą rad dobroczynności publicznej (powiatowej i gubernjalnej), W miastach tenże zarząd powierzyć magistratom pod tę samą kontrolę.

15) Powierzyć wybór kandydatów na lekarzy „uczą̨stkowych" towarzystwom lekarskim, ewentualnie — gremium zaufanych lekarzy.

16) Zapewnić całemu personelowi lekarskiemu emeryturę na zasadach odmiennych od emerytury państwowej, lub też ubezpieczyć wszystkich na dożycie w towarzystwach ubezpieczeniowych.

17) Nałożyć tak wysoki podatek, aby ten wystarczył na pokrycie wszystkich powyżej wskazanych pozycji. Nie należy się imać półśrodków, które nie mogą zadowolić ani strony płacącej, ani płaconej.

18) Nałożyć podatek pogłówny na całą ludność, wykluczywszy z niego tylko żebraków. Podatek ten winien wzrastać w stosunku geometrycznym do dochodów opodatkowanych.

Dodać winniśmy, że istnieje projekt rządowy pomocy lekarskiej gminnej, który wszakże posiada pewne braki, między innymi np. ten, że za podstawę do niego wzięto siłę płatniczą ludności i nie uwzględniono potrzeb istotnych. Skutkiem tego poprzestał on na wymaganiach skromniejszych aniżeli podane przez d-ra Fidlera i innych. Projekt rządowy ustanawia podwójny system szpitalny: bezpłatny w szpitalach miejskich, pomimo, że i w tych drugich leczy się także lud miejski, który przecież ma być obdarzony pomocą bezpłatną. Projek rządowy nadto grzeszy wielu innymi brakami, na które lekarze nasi zwrócili uwagę, a dr. Fidler szereguje w sposób następujący: Projekt pozostawia położnice po wsiach bez wszelkiej pomocy, gdyż nie wciąga do rzędu funkcjonarjuszów nowego urządzenia babek wiejskich, a tym samym nie myśli o powiększeniu ich liczby. Zaniedbuje sprawę obłąkanych, pomija milczeniem nieuleczalnych, usuwa od zarządu „uczą̨stkami" lekarskimi samorządy gminne, powołane do tego przez zasadnicze prawa wymienione w ukazie z dnia 16 lutego 1861 r. Oszczędza siłę płatniczą ludności, która obecnie znacznie więcej, często bezcelowo, ponosi wydatków na swe zdrowie. Wyzyskuje jednocześnie pracę lekarską zgóry zmusza lekarza do lekceważenia swych obowiązków. Nie opiera się na swym pierwowzorze, „Ziemskiej Medycynie", która pochłania znacznie większe sumy i wymaga coraz większych nakładów. Słowem projekt rządowy jest minjaturą pomocy lekarskiej w guberniach rosyjskich, posiadających samorząd ziemski: wykrojono go z tamtego, z zamiarem wprowadzenia u nas i pominięciem naszych potrzeb istotnych, oraz warunków odmiennych.

Dziś, kiedy projekt wprowadzenia u nas samorządu ziemskiego znowu jest w biegu, należałoby tę sprawę ponownie rozważyć, wszechstronnie ją opracować i oświetlić.

Zenon Pietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

Henryk Poincaré.

(**Nauka i Hypoteza:** przekład M. Horwitza. **Wartość Nauki:** przekład Ludwika Silbersteina. **Nauka i Metoda:** przekład M. Horwitza. Nakładem Jakóba Mortkowicza).

3)

(Dokończenie)

Teorja Poincaré'go jest słuszną krytyką bezwzględnego racjonalizmu a nawet złagodzonego racjonalizmu Kanta. Wykazuje nam ona, iż nie było żadnej konieczności nieuniknionej, aby umysł nasz rozwinął tę z pośród matematyk, która przystosowywa się tak doskonale do wykładania naszego doświadczenia; inaczej mówiąc, matematyka nasza nie jest wyrazem jakiegoś powszechnego prawa rzeczywistości, jakiekolwiek wzięlibyśmy tej rzeczywistości pojęcie: kartezjańskie, kantowskie, bądź też jakieś inne.

Wszelako wniosek ten pojmuje Poincaré w znaczeniu zgoła innym niż pragmatyści.

Na rozbieżność powyższą słuszną zwraca uwagę p. Abel Rey, [1]) uwagę tym cenniejszą, że pragmatyzm, w osobach swych najwybitniejszych szermierzy posługuje się autorytetem Poincaré'go do szachowania przeciwników i zarazem osłony własnych pozycji.

Tymczasem zaś, dowodzi Rey, większość pragmatystów i nawet prawie wszyscy komentatorowie Poincaré'go zdają się mylić zasadniczo co do osnowy jego poglądów. Mamy tu przed oczyma wspaniały okaz wypaczania myśli przez jej odtwarzanie. Pragmatyści uczynili z Poincaré'go, — na punkcie rzeczonego zagadnienia, jak i na punkcie wielu innych zagadnień, — chorążego swych idej.

Któż atoli nie widzi, że prawdziwy pragmatyzm stawi matematykę w zależność bezpośrednią od doświadczenia? Matematyka jest dlań wytworem umysłu, jak i dla Poincaré'go, ale wytworem umysłu, zwróconym ku działaniu praktycznemu, dowolnym aktem myśli działawczej, pojmowanej tak, jak ją pojmuje filozofja nowoczesna. Dla pragmatystów, myśl czysto kontemplacyjna i bezinteresowna nie istnieje; nie istnieje dla nich *czysty rozum* Wedle nich, istnieje tylko myśl, dążąca do opanowania przedmiotów, i, w tym celu, zniekształcająca wyobrażenie, które o nich zdobywa, dla osiągnięcia korzyści praktycznych. Nauka i rozum są jedynie służkami praktyki.

W mniemaniu, natomiast, Poincaré'go, m y ś l pojmować należy raczej, do pewnego stopnia, po arystotelesowsku. M y ś l m y ś l i, r o z u m r o z u m u j e d l a w ł a s n e g o s w e g o z a d o w o l e n i a; i wówczas zdarza się, że ponadto, w następstwie, pewne rezultaty niewyczerpanie płodnej działalności

[1]) „La philosophie moderne". Paris, Flammarion 1908.

rozumu mogą być przydatne dla innych celów, po za czysto rozumowym zadowoleniem.

Jednakowoż praktyka, w tym wypadku, bywa następczym wynikiem wiedzy i rozumu. Rozum zaś i wiedza przerastają niepomiernie pole zastosowalności użytkowej.

„Myśl, powiada Poincaré, jest błyskawicą za ledwie; ale ta błyskawica jest dla nas wszystkim" (*Wartość Nauki*).

Z teorją Poincaré'go można, rzecz prosta, się nie godzić; można ją krytykować. Nie wolno jej wszakże wypaczać, by móc potym do powagi jej się odwołać. Nie podkreślono dość wyraźnie łączności, wiążącej ją z Kantyzmem, z którego bierze ona całkowitą teorję sądów syntetycznych *a priori*, pod warunkiem wszakże (w tym właśnie miejscu racjonalizm kantowski jest dla niej zbyt sztywny), że sądy syntetyczne *a priori*, na których opiera się nasza matematyka (Euklidesowa) nie będą uznane na jedynie możliwe podstawy, za podstawy jedynie konieczne matematyki rozumowej. Teorja Poincaré'go krytykuje więc zarówno racjonalizm zbyt ciasny jak i pragmatyzm, konsekwentnie ustalony, czyli t. zw. *empiryzm radykalny*, rozwinięty w systemie W. James'a.

Jeśli wyobrazimy sobie naukę współczesną w postaci nawy, której grożą dwie niebezpieczne skały podwodne: skała metafizyki dogmatycznej i skała sceptycyzmu, którego odmianą najświeższą zda się być pragmatyzm, to rozwijając ową przenośnię, rzec musimy, iż Poincaré szczęśliwie między obu skałami przepłynął. Zrazu, atoli, mocnym uderzeniem steru odbił się od skał metafizyki, aby uniknąć dogmatyzmu; potym, dopiero, ster zwrócił, aby z kolei ominąć pragmatyzm.

Mimo ów zwrot ostatni, dla szerokiego ogółu pozostał Poincaré burzycielem bezwzględnym wszelkiej pewności naukowej.

Zali nie zakwestjonował on pewności tej najniezłomniejszej z prawd, będącej tryumfem i dumą poznawczego genjuszu ludzkiego, mianowicie tej, że ziemia obraca się wokół słońca?

Z niesłychanym zgorszeniem powtarzano sobie owe głośne słowa Poincaré'go z *Nauki i Hypotezy*: „Twierdzenie z i e m i a w i r u j e nie posiada żadnego znaczenia, ponieważ doświadczenie nigdy nam nie pozwoli go sprawdzić; albo raczej oba te twierdzenia: z i e m i a w i r u j e tudzież d o g o d n i e j j e s t p r z y p u s z c z a ć, iż z i e m i a w i r u j e jednakowe posiadają znaczenie; pierwsze nie zawiera w sobie ani o źdźbło więcej treści, niż drugie".

Ogół pospolicie słowa powyższe pojął, jako proste zaprzeczenie: — Ziemia się nie obraca. — Śród umysłów żywszych powstało wzburzenie. Dusze pobożne doznały ulgi i pociechy.

Jeszcze teraz słyszeć się daje niejednokrotnie tego rodzaju uproszczone tłomaczenia słów Poincaré'go. Czyż tak nawet wybitny i przenikliwy teolog, jak Mgr Bolo, niedawno jeszcze nie głosił publicznie w prasie (*Matin*, Luty 1908), iż Poincaré, najznamienitszy matematyk wieku, zadał kłam uporowi starego Galileusza?

— E pur si muove, Monsignore,—odparł natychmiast Poincaré. Galileusz miał słuszność. Ona się obraca!

Ogół wszakże i nadal pozostał przy mniemaniu, że Poincaré, jeśli nawet nie zaprzecza obrotu ziemi, to, w każdym razie, poważnie o nim wątpi. Ogół publiczności, oczywiście, nie znając prawdziwych uzasadnień teorji Kopernika, uważa ruch ziemi za pewnego rodzaju szaniec naukowości, będący podwaliną i zarazem rękojmią nowoczesnego na świat poglądu. Przekonanie to, na czystym oparte instynkcie, zgadza się w zarysie ogólnym z wynikami myśli filozoficznej. Teorja Kopernika istotnie stała się zwornikiem sklepienia w wielkim gmachu nauki. Stanowi ona punkt wspólnego spotkania dla astronomji, mechaniki i fizyki. Gdy ją odrzucimy, wszystko runie; pozostaną jedynie gruzy: zbiorowiska faktów empirycznych bez żadnej między sobą łączności. Słusznie tedy zachwianie prawdziwości układu heljocentrycznego uchodzić mogłoby za ogólny, w zakresie nauki, sceptycyzm.

Na pierwszy rzut oka, pojęcie *dogodności*, którym Poincaré zastąpić chce pojęcie *prawdy*, przypomina doktrynę pragmatystów, uważających naukę za zbiór prawideł i skutecznych reguł postępowania, reguł wybornych w praktyce, ale bezsilnych tam gdzie chodzi o poznanie.

Skoro nauka, jak mówi Poincaré, składa się z twierdzeń umownych i określeń, z zasad i teorji, których wartość jedyna polega na większej lub mniejszej dogodności, to jakiż stąd wynika wniosek? — Że fakty naukowe, że prawa, są sztucznym wytworem pracy uczonego, że nauka nic nam o prawdzie powiedzieć nie umie.

Otóż właśnie Poincaré wniosek ten odrzuca. Uniezależniwszy się od koncepcji metafizycznych, roszczących pretensje do prawdy bezwzględnej, niemniej stanowczo zastrzega się przeciwko sceptycznym wywodom pragmatystów. Stąd wypłynęła słynna jego polemika z p. Edwardem Le Roy na kartach *Revue de Métaphysique et de Morale*. W następstwie autor polemikę tę odtworzył i rozwinął w trzeciej części *Wartości Nauki*, na 60 stronnicach, które jako kwiat niewiędnący, pozostaną w dziejach myśli i w dziejach piśmiennictwa.

Nie mogąc podejmować wyczerpującego ich rozbioru, poprzestaniemy na zarysie ogólnego kierunku dowodzeń.

Le Roy naukę poczytuje za system sztuczny, za budowę wzniesioną przez myśl uczonego: według niego, nauka nie odpowiada żadnej rzeczywistości, po za umysłem uczonego istniejącej; nie posiada ona charakteru przedmiotowego. Fakty surowe, stanowiące materjał doświadczenia, ulegają wynaturzeniu przez uczonych, którzy przeistaczają je w „fakty naukowe". a raczej zastępują je wytworami własnej umysłowości,

Poincaré zaś odpowiada: uczony nie tworzy faktu; tworzy on tylko język, w którym fakt zostaje wypowiedziany. Bez wątpienia, mogą się zdarzać dwuznaczności w sposobie tego wypowiadania, ale czyż zwykła mowa nasza, którą się w życiu codziennym posługujemy, wolna jest od dwuznaczników? Zali mamy przeto prawo wyprowadzić stąd wniosek, że fakty życia codziennego są dziełem gramatyków?

Bez wahania każdy temu zaprzeczy.

Otóż, podobnie, prawa naukowe nie są dowolnym wytworem uczonych. Wprawdzie, uczeni starają się zazwyczaj wysnuć z prawa pewną *zasadę* ogólną, której doświadczenie sprawdzić ani stwierdzić nie będzie mogło nigdy. Taka właśnie zasada ogólna pozbawiona bywa przedmiotowości. Ale obok niej istnieć będzie, jako osad prawa pierwotnego, inne prawo, przez doświadczenie poparte. Weźmy przykład: przypuszczam, że istnieje prawo zmienności cen pewnego przedmiotu w ciągu każdego roku; prawo to możemy wyrazić w postaci łuku, przyjmując odcinki za liczbę dni, a odpowiadające im proste, łączące punkty łuku z podstawą, za ceny; to będzie prawo bez udziału jakiejkolwiek zasady. Ponadto wszakże możemy jeszcze orzec: dany przedmiot przedstawia wartość stu rubli, jako cenę zasadniczą. Tu występuje zasada, zasada, o ile sobie życzymy, niezmienna, gdy tymczasem prawo przedstawiać się będzie odtąd w postaci krzywej, określanej przez różnicę między cenami rzeczywistymi, a ową ceną stu rubli. Krzywa ta, niemniej, uniezależni się od naszej dowolności i wyrażać będzie, mimo wszystko, objektywne zmiany rynku.

„Wszelkie prawo, rzecze Poincaré, daje się rozłożyć na zasadę i na prawo; atoli jest rzeczą jasną

przytym, że jakkolwiek daleko pzsuwalibyśmy sprawę tego rozkładu, zawsze prawa napotykać będziemy". Otóż prawa posiadają charakter przedmiotowy, ponieważ treść ich zostaje nam narzucona przez świat zewnętrzny. Mniejsza o to, że owa treść ulega wahaniom. Waha się ona właściwie celem coraz ściślejszego odpowiadania stosunkom rzeczywistości.

Nakoniec, ponieważ nauka stanowi pewien układ stosunków, Poincaré wykazuje, że względność ta nie wyłącza bynajmniej objektywizmu, albowiem świat objektywny polega właśnie na istnieniu stosunków. Nie wiem, i nigdy wiedzieć nie będę, czy moje czucie barwy, zwanej „czerwoną" jest takie same, jak czucie innych. Wiem jedynie, że na mnie, równie jak na innych, mak polny oraz szarawary piechoty francuskiej wywierają *to samo* wrażenie barwne.

To więc, co stanowi o objektywiźmie w barwach, — jest ugrupowaniem barw, przez porównanie, przez stosunek, w pewne barwy, o których mówi się, że są *te same.*

Natomiast, *moje* czucie barwy pozostaje faktem subjektywnym, ponieważ nie mam możności udzielić go komukolwiek, ponieważ nie mogę porównać go z czuciem czyimkolwiek; nic przeto nie daje mi rękojmi, że czucie to nie jest czymś czysto osobistym.

Rękojmia taka istnieje tam tylko, gdzie zachodzą rzeczy wspólne wielu umysłom, możliwe do wymiany między nimi. Zaś wymiana nie możliwa jest bez „dyskursu".

Niema przedmiotowości bez duskursu, — w ten sposób odpiera Poincaré zarzut Le Roy, utrzymującego, iż wprowadzenie metod dyskursywnych do nauki świadczy o jej charakterze nie-przedmiotowym. Prócz tego, ustala Poincaré, że to wszystko, co jest czystą jakością w czuciach, bywa niemożliwe do wyrażenia i przeniknięcia. Ale jest rzecz inna, gdy chodzi o stosunki między tymi czuciami. Z tego stanowiska, to wszystko, co jest przedmiotowe, pozbawione bywa wszelkiej jakości i przedstawia się jedynie, jako stosunek.

Pozostaje pytanie, czy nauka zdolna jest zapoznać nas z prawdziwymi stosunkami rzeczy. Sceptycy twierdzą, że nie. I twierdzenie swe opierają na zmienności wszelkich teorji. Teorje owe „powstają pewnego pięknego dnia, nazajutrz stają się modne, pojutrze uchodzą za klasyczne, trzeciego dnia stają się przestarzałe, a czwartego — ulegają zapomnieniu". Teorje upadają, lecz stosunki pozostają: „Teorja drgań eteru (Fresnel) uczyła, że światło jest ruchem; teorja elektro-magnetyczna (Maxwell), że światło jest prądem... Możnaby więc, na pozór, czuć się upoważnionym do twierdzenia, że teorja dawna (Fresnela) została zdetronizowana. Tymczasem jednak, pozostało z niej coś, albowiem, między przypuszczalnymi prądami Maxwella zachodzą te same stosunki, co między przypuszczalnymi drganiami Fresnela. Otrzymujemy tedy coś, co zagładzie nie ulega, i to coś stanowi właśnie rzecz najistotniejszą". Ta rzecz najistotniejsza — to właśnie stosunki.

Żadnej niema różnicy, co do stopnia przedmiotowości, między stosunkami formułowanymi przez naukę, a tymi, na których opierają się nasze określenia zjawisk zewnętrznych. Czucia, zjawiskom tym odpowiadające, rozpoznajemy na podstawie związków, które je łączą; tworzą one łańcuch, w którym odnajdujemy ogniwa stale podobne, czyli stosunki stałe, których brak uderza nas w zespole obrazów sennych, widzeń i halucynacji. Owe stosunki stałe mają ten sam charakter, co i stosunki przez naukę ujmowane.

W rezultacie tedy, pewność naukowa ugruntowana jest na podwalinach równie trwałych, jak te, na których wspierają się najniezbędniejsze akty naszego życia.

Pewność, rzeczywistość, przedmiotowość w nauce ma toż samo znaczenie co pewność rzeczywistość i przedmiotowość w życiu.

Oto są najogólniejsze, i najbardziej zarazem zasadnicze wyniki filozoficznej myśli Poincaré'go.

* * *

Dzieła francuskiego myśliciela nie powinny przejść dla nas bezowocnie. Nie powinna pójść na marne sumienna praca tłomaczy i obywatelski czyn księgarza-nakładcy. W bogatej, wolnej i oświeconej Francji Poincaré stał się chlubą nauki ojczystej; myśl jego błyszczy jak klejnot w koronie narodowej chwały. Tam — w swej ojczyźnie — jest on nietylko pracownikiem na polu wiedzy, ale i ozdobą kultury. Tam ludzie bowiem dość szczęśliwi są na to, aby, karmiąc się owocami poznania, jednocześnie wdzięk ich subtelny i form cudnych harmonję podziwiać mogli.

Ale my, w porównaniu z nimi, jesteśmy nędzarzami. U nas drzewo poznania niedostępne, zazdrośnie strzeżone i skąpe, ubogim plonem zaledwie od śmierci głodowej ratuje polską umysłowość. Gdy więc we Francji, śród pełni rozkwitu, Poincaré zjawia się jako tryumf genjuszu, jako przepych świąteczny śród powszedniego bogactwa, dla nas, hyperborejczyków na uboczu żyjących, dzieła jego, chleb i wodę zastąpić muszą w zakresie karmi umysłowej, gdyż, zaiste, na chlebie i wodzie nam zbywa. Nic nam uronić z nich niewolno. Aby je skrytykować i osądzić, trzeba wchłonąć naprzód i przetrawić. Ci, którzy uczą się sami i ci, którzy chcą nauczać innych, obowiązani są poznać je przedewszystkim. A więc studenci, uczniowie, nauczyciele szkół. Kto mózgu swego nie prześwietlił rozumowaniem Poincaré'go o istocie twórczości naukowej, nowymi nawskroś pojęciami jego co do względności przestrzeni, genezy czasu, przyszłości matematyki i stosunku jej do filozfji, ten „formalnie" do inteligencji zaliczać się może na podstawie zdobytych dyplomów lub stopni uniwersyteckich, ale w rzeczywistości z koła ludzi ukształconych — już ustąpił. W szczególności, pod adresem matematyków i fizyków, w szkołach naszych przedmioty swe wykładających, rzec musimy, że kto z nich, w chwili obecnej, nie zna uwag Poincaré go o „Definicjach matematycznych i nauczaniu" (*Nauka i Metoda*) ten poprostu, wobec uczni i wobec zadań pedagogji, jeśli chce zachować prawość intelektu s u m i e n i a s p o k o j n e g o mieć nie może: tak poważne rozstrzygają one trudności, tak zgubnym zapobiegają nieporozumieniem i tak jasną pochodnię stawią u progu największej tajemnicy: u proga rodzącego się Wysiłku Myśli.

W. Rzymowski.

KRYTYKA.

Z Teatru.

„Ponad Siły" — dramat Björnstjerne-Björnsona, przekład Jana Kasprowicza.

Co jest „Ponad Siły" ludzkie w pierwszej części dramatu Björnsona? To czego chce pastor Sang. Pastor Sang za pomocą życia w Bogu i modlitwy chce, by Bóg zmienił swe zamiary i zastosował się do gorących modłów i woli Sanga. Bóg jest surowy, lecz ilekroć chce uśmiercić lub skazać na chorobę kogoś z parafjan Sanga — pastor występuje z gorącym protestem, wstawia się za zagrożoną osobą i nie ustaje w modłach dotąd, dopóki Bóg nie ustąpi i nie zmieni swego zamiaru. Sang tak rozumuje: aby Bóg panował w sercach ludzi, trzeba, aby na mnie zlał moc dokonywania cudów, bo religja nie może żyć bez cudu. Inaczej mó-

wiąc trzeba, aby Bóg część swej wszechmocy przelał na Sanga. Idąc dalej w tym kierunku, można przypuścić, że Sang w gruncie rzeczy jest zakapturzonym rewolucjonistą i buntownikiem, który chce zwyciężyć Boga za pomocą modlitwy. Jest to człowiek, któremu się zdaje, że w modlitwie wynalazł sposób na Boga, że wysłuchiwanie gorących modlitw jest „słabą stroną" Twórcy. Jestto człowiek, w którym podejrzewać trzeba bujne życie podświadome. Jest on w błędzie przypuszczając, że jest dobrym chrześcjaninem i to chrześcjaninem w sensie chrześcjan pierwotnych. Tamtych zapewne tak nie przerażała choroba ani śmierć, która jest przecież początkiem życia wiekuistego. Pastor Sang jest człowiekiem nawskroś współczesnym. Jego duch religijny obcy jest pokorze. Jego zamiary — to sny o potędze i panowaniu na ziemi.

Kiedy podnosi się kurtyna—pastor Sang walczy z Bogiem o żonę, złożoną ciężką chorobą. Niejednokrotnie mocą swej siły cudotwórczej podnosił z ciężkiej choroby — niemal wskrzeszał — swych parafjan. Teraz chce zrobić to samo z żoną. Oświadcza, że pójdzie do kościoła i będzie się modlił, dopóki go Bóg nie wysłucha. Kiedy trwa na modlitwie — obrywają się złomy skalne i toczą z góry ze straszliwym hukiem. Wszyscy sądzą, że kościół zmiażdżony i pastor zginął. Lecz kiedy łoskoty umilkły, rozlega się dzwonek kościelny. To Sang dzwoni i modli się. Ocalał. Odłamy skalne przesunęły się obok świątyni. Następuje chwila bardzo uroczysta. Pastor wraca w otoczeniu wiernych, śpiewających alleluja. Wraca jako zwycięsca i tryumfator. Z łoża dźwiga się jego żona i kroczy ku niemu ocalona, zdrowa. Idzie w objęcia męża, chwieje się, pada, umiera. „Alcż ja nie tego chciałem".. — szepcze pastor — i również pada martwy.

Sang nie jest chrześcjaninem. Chrześcjanin nie umiera, kiedy Bóg wbrew jego woli przeprowadza swe zamiary. Chrystjanizm niemożliwy jest bez pokory. Jest to człowiek, który chciał kierować wolą boską, który zawiódł się na swej strategji i nie przeżył swej klęski. Być może, że pastor Sang umarł ze wstydu.

Lecz tego rzekomego chrześcjanina i jego czyny otoczył Björnson czarem głębokiej uczuciowości. Pierwsza część dramatu „Ponad Siły" jest podniosła Tworzył ją autor norweski z ogniem w sercu. Sytuacje są proste i szczytne, a wszystkich, którzy biorą w tem udział, nie wyłączając groteskowych zrazu pastorów — porywa wicher świętego uniesienia, bo wszyscy stoją wobec tchnienia Tajemnicy Najwyższej.

Część druga — jest już ziemską — bez religijnego pokrowca. Chodzi o to, że jest „Ponad Siły" naszym czasom, kiedy „rozpacz ludu" dosięgła granic ostatecznych, urządzić życie tak, by nie było tylu klęsk dotkliwych. Pastor Sang, który walczył z Bogiem o szczęście i życie człowieka, ma następców. Jego następcami są — Bratt, dawniej pastor, a dziś agitator i mówca ludowy oraz całkowicie oddany sprawie dobra ogólnego — syn Sanga—Eljan. Walka o człowieka przenosi się z kościoła na plac publiczny, do fabryki i kancelarji dyrektorskiej. Z jednej strony do zapasów stają kapitaliści, którzy nie chcą dobrowolnie ustąpić z opoki swych snów o potędze, z drugiej — robotnicy, którym chodzi o zdobycie elementarnych praw do chleba i słońca. Następuje szereg potyczek epizodycznych, a wreszcie — walna rozprawa — wysadzenie w powietrze zamku, na którym obradują fabrykanci. Lecz krwawy zamach okazuje się jałowym. Zemsta nasycona, lecz sroższa jeszcze nędza zmuszą znów do pokory. Zostaje dużo trupów i serc w żałobie. Oto wszystko! Część druga dramatu Björnsona nie ma szerokiej perspektywy, niezbędnej, kiedy chodzi o problemat odwieczny. Jest mętna, chaotyczna, nieprzekonywająca. Jak pastor Sang nie był chrześcjaninem, lecz buntującym się Luciferem, tak eks-pastor Bratt nie jest wodzem. Jeżeli wódz po pierwszej przegranej dostaje obłąkania, to znaczy to tylko, że nie zajmował odpowiedniego dla siebie stanowiska. Pastor Sang jest kreacją zajmującą i wzbudzającą hipotezy. Ani zarysowany w pierwszej części na duszę płomienną—Bratt, ani Eljan nie budzą hipotez, a to zły znak dla kreacji artystycznej. Są jałowi i przemijają bez głębszego wrażenia i fermentu w umyśle widza.

Rada autora by wydziedziczeni czekali cierpliwie, aż wynalazki uczynią życie znośniejszym — nie może być brana na serjo. Wartość części drugiej polega na żywych epizodach, na ironicznem wejrzeniu autora w sobkostwo bogaczów i na głębokiem współczuciu z cierpieniami wydziedziczonych.

Reżyserja i gra artystów — godne pochwały.

Leon Choromański.

Henryk Heine: **Pieśni współczesne**, przekł. Wł. Nawrockiego; wyd. *Sfinksa.*

Heine jest bodaj tak niecierpiany w Niemczech, jak Marat we Francji. Jego ironiczne poezje i poetyczno-zjadliwa proza działały śród współobywateli, zwłaszcza pruskich, jak siarka.

Pieśniarz wolności, zapamiętały czciciel wiecznie rewolucyjnej Francji, wyszydzacz gburowatości rodzimej, niema do dzisiejszego dnia pomnika w ojczyźnie, którą pomimo wszystko, bardzo kochał. „W poemacie „Niemcy" i w „Pieśniach współczesnych" — mówi we wstępie do swoich pierwszorzędnych przekładów satyrycznych Władysław Nawrocki — poeta pod pręgierz stawia urzędowy patryotyzm niemieckich szowinistów, czego mu prusactwo dotychczas zapomnieć nie może. Nie może mu również zapomnieć i darować, że miłując wolność, nie mógł nie kochać tych, którzy zawsze i wszędzie walczyli pod jej sztandarami i tyle za nią krwi przelali — że był nam zawsze przyjacielem, szczerze sprawie naszej życzliwym i współczującym".

Charakteryzować Heinego w Polsce nie ma potrzeby. Jest on popularniejszy u nas, niż, dajmy na to, Węgierski. Wielu poetów z różnym powodzeniem spolszczyło jego utwory, cały legjon ulegał jego wpływowi. Jednak charakterystyka Wawrzyńca Sterne'a, dokonana piórem Heinego tak wyjątkowo świetnie nadaje się na wizerunek samego autora „Pieśni współczesnych", że ją powtarzamy za tłomaczem.

„Pewnego razu w przypadku okrutnej czułości pocałowała mu tragiczna muza młode serce tak mocno, z taką siłą miłości i zapałem, że owo serce jęło krwawić i zrozumiało w jednej chwili wszystkie bóle tego świata i zostało wypełnione bezbrzeżnym współczuciem. Biedne, młode serce poety! Ale młodsza córka Mnemozyny, różano-lica bogini żartu, szybko przyskoczyła, wzięła cierpiące dziecię w swe objęcia i usiłowała rozweselić je śmiechem oraz śpiewem i dała mu, jako zabawkę, maskę komiczną i dzwoneczki błazeńskie i całowała dobrotliwie jego usta i wcałowała mu przez nie całą swą lekkomyślność, całą swą zuchwałą wesołość, całe swe dowcipne przekomarzanie się. I poczynając od tego czasu, jego serce i usta w osobliwej znalazły się sprzeczności; kiedy nieraz serce poety tragicznie jest wzruszone i kiedy chce wypowiedzieć swe najgłębsze, trawiące je uczucie, wtedy, ku własnemu jego podziwowi, wyrywają mu się z ust najuciesznie jszejsze śmiejące się słowa".

Sainte-Beuve, pisząc o humorystycznych wyjątkach z Heinego, przełożonych w 1833 r. na język francuski, staraniem Loeve-Veimers'a, powiada, że te „kawałki.. zdradzają naturę ruchliwą, wrażliwą, uszczypliwą, której ambicją jest być lekką, która roz

porządza niepodrabianą ironją a czasem szczerym zachwytem, coś w rodzaju p. Stendhala, lecz z większym zasobem kolorytu i pomimo wszystko, dowcipu".

Aby uwidocznić, na jakim artystycznym poziomie znajduje się przekład Władysława Nawrockiego, powtarzam jeden z wierszy p. t. „Tkacze", napisany z powodu panującej w r. 1844 nędzy śród śląskich tkaczy, nędzy, która doprowadziła do wybuchu powstania w górskich wioskach Ceterswaldau i Langenbiclau w d. 4 i 5 lipca tegoż roku.

Żadnej łzy w posępnym oku,
Zasiedli przy krosnach i szczerzą kły w mroku:
„Germanjo! w tym tkanym tu przez nas całunie,
Z potrójnym przekleństwem ułożym cię w trunie —
My tkamy, my tkamy!

„Przekleństwo bożyszczu, przed którym-śmy modły
Składali, gdy nędza, głód, zima nas bodły;
Ufaliśmy próżno, zawiodły nadzieje,
A dziś nas wyszydza, z nas dzisiaj się śmieje —
My tkamy, my tkamy!

„Przekleństwo królowi, królowi bogaczy,
Co naszej niedoli złagodzić nie raczy,
Co od nas już grosik ostatni wyciska,
A potym nas każe wystrzelać, jak psiska.
My tkamy, my tkamy!

„Przekleństwo tej naszej obłudnej ojczyźnie,
Gdzie jeno srom, hańba przynoszą plon żyźnie,
Gdzie zawsze kwiat każdy umiera najwcześniej,
Gdzie robak się tuczy w zgniliźnie i pleśni —
My tkamy, my tkamy!

„Czółenko wciąż biega i krosna terkocą,
My tkamy starannie i dniem wciąż i nocą.
O stara Germanjo, w utkanym całunie,
Z potrójnym przekleństwem ułożym cię w trunie.
My tkamy, my tkamy!

W. Grubiński.

NA DOBIE.

Nowa faza gorączki.

Gromadne po wsiach naszych wychodźtwo do Parany zwróciło na siebie uwagę ogółu i wywołało żywą wymianę zdań na łamach prasy, która w przeważnej większości wypowiedziała się przeciw emigracji.

W *Prawdzie* pogląd ten popierał J. Kurnatowski, wskazując na wyższość wychodźtwa sezonowego nad gromadnym przenoszeniem się do Parany, skąd część znaczna emigrantów nigdy już do rodzinnego kraju nie wróci. Jedyną okolicznością, przemawiającą na rzecz Parany, było to, że rząd brazylijski przewoził emigrantów naszych *darmo*, co pozwalało żywiołowi polskiemu skupiać się w wielkiej ilości i ujawniać twórczość w duchu kultury narodowej. Z istnieniem tej „nowej Polski" na brzegu brazylijskim związane były nawet liczne iluzje i nadzieje, którym niestety, nie sądzono się ziścić, bowiem według ostatnich telegramów, rząd brazylijski wstrzymał dopływ imigrantów do stanu Parana kierując natomiast falę przybyszów ku innym bezludnym i nieprzystępnym ziemiom olbrzymiego państwa.

Wobec tego ustać musi wszelkie ideowe popieranie gorączki brazylijskiej, która w tych warunkach żadnej ludowi naszemu nie rokuje korzyści, a naraża go na niesłychanie ciężkie i ryzykowne próby.

Tymczasem, jak się okazuje, gorączka brazylijska trwa dotąd i wzmaga się nawet w ziemi lubelskiej, na Zamojszczyźnie, gdzie raźno agitują agenci tow. przewozowego *Austro-Amerykany*, znanego ze swej niesumienności i wszelakich nadużyć względem nieszczęśliwych i bezbronnych wychodźców. Rzeczą jest charakterystyczną, że władze miejscowe w lubelskiem bynajmniej się nie kwapią z powstrzymaniem ruchu, który poważnie osłabia żywioł polski na etnicznej wschodniej granicy naszego kraju. Rzecz prosta, że takie systematyczne czynienie szczerb i luk na wspomnianej granicy nie leży w naszym interesie, to też spodziewać się można, że wszystkie społeczne zespoły w tych stronach zechcą odpowiednio na lud odziałać.

O ile ruch wychodźczy, powodowany mnóstwem przyczyn i czynników przyrodzonych, nie da się powstrzymać, należy dołożyć wszelkich starań, by zasilił wychodźtwo sezonowe, które przynosi niezaprzeczone korzyści materjalne polskim włościanom bezrolnym i małorolnym.

Ciemne sprawy na Jasnej Górze.

„Dnia 25 września — czytamy w *Kurjerze Warszawskim* — przybyła na Jasną Górę kompania z Kłobucka, z pod Częstochowy, z emblematami kościelnemi i chorągwiami. Gdy wczoraj po trzydniowym pobycie w klasztorze, pątnicy, zabrawszy z klasztoru dane na przechowanie chorągwie, przygotowywali się przy figurze Prokopa do powrotu, zauważono u wszystkich chorągwi poucinane bogato szyte złotem frendzle i festony razem około kilkudziesięciu sztuk, wartości 400 rb. ...Aby nie wracać z zeszpeconemi chorągwiami, kupiono festony w miejscowych sklepach dewocyjnych i ruszono w dalszą drogę".

Ani w tej krótkiej wzmiance, ani w zachowaniu się poszkodowanych pątników z Kłobucka niema śladu zdziwienia, gniewu, zgrozy, z powodu czelnego świętokradztwa wewnątrz murów klasztornych. Nikt nie był zaskoczony, wszystko odbyło się normalnie, według reguły. Kradzież na targowisku, w szynku lub na dworcu kolei żelaznej wywołuje zgiełk, zbiegowisko, wrzawę, rekryminacye i różne pretensye. Często wypłaca się odszkodowanie, czasem złodziej bywa na miejscu schwytany, niekiedy sąd doraźny wzburzonego tłumu karci go dotkliwie.

Ale w murach klasztornych złodzieje są jak u siebie w domu, pogodni i bezpieczni. Życie upływa im w błogim wywczasie, pełnym komfortu i ciszy, bez niebezpieczeństw zawodowych i zbytecznej fatygi. Zamiast szukać „okazji" po szerokim świecie, czyż nie wygodniej ściągnąć ją do siebie w postaci setek tysięcy potulnych i rozrzewnionych „gości"? I oto w tym uroczystym nastroju, w półcieniu witraży, wśród harmonijnej muzyki organów i pień pobożnych, dzieją się na Jasnej Górze... sprawy ciemne. Któżby się o to troskał? Człowiek pobożny i świątobliwy niczemu się nie dziwi: dla niego wszechświat jest zawsze pełen cudownych niespodzianek i sił nadprzyrodzonych. Stałe znikanie ozdób i przedmiotów kosztownych w klasztorze jasnogórkim należy bodaj do cudów najpospolitszych.

De diebus festis.

Departament wyznań obcych rozesłał okólnik do biskupów djecezji rzymsko-katolickich z zawiadomieniem, że dekret papieski *de diebus festis* tyczący redukcji świąt—nie może być ogłoszony, ani wykonany. Wolno przypuszczać, że biskupi przeczytali okólnik bez przykrości, owszem, z rzetelną nawet satysfakcyą, bo jeśli zniesienie nadmiernej u nas liczby świąt leży

w interesie całego kraju, wyprzedzanego przez pracowitsze narody, to jasnym jest z drugiej strony, że duchowieństwo przekłada obecny stan rzeczy, jako bardziej dla siebie korzystny pod względem duchowym i materyalnym.

Franciszek Kostrzewski.

Najpopularniejszy w Polsce artysta rysownik i humorysta, utalentowany malarz rodzajowy zmarł w 86 roku życia w Warszawie. W latach pięćdziesiątych uczeń Kokulara, Pinarskiego i Hadziewicza, kolega Henryka Pillatiego, Brodowskiego i Gersona należał do grupy malarzy z czasów Piwerskiego. Poza malarstwem rodzajowym oddał się niepodzielnie humorowi i był jednym z pierwszych niezrównanych pracowników na tym polu, łącząc swój rodzimy dowcip z illustratorstwem. Tysiące numerów pism humorystycznych zacząwszy od najdawniejszego Kurjera Świątecznego są zapełnione jego rysunkami. Dowcip pogodny, lekka satyra obyczajowa bez żółci i zgryźliwości były tłem, na którym powstawały i tworzyły się niezliczone szeregi rysunków Kostrzewskiego. Warszawa stworzyła swój typ artysty rysownika i humor i talent Kostrzewskiego łączył się zgodnie z tłem i życiem ukochanego przez niego miasta: nikt z artystów polskich bardziej cenionym i uznanym powszechnie nie był przez Warszawę niż Kostrzewski. Z górą pół wieku żył i tworzył dla Warszawy. I nieraz na dalekiej obczyźnie w kółku przyjaciół, mówiąc o Warszawie, o jej żywym pomimo wszystko humorze aktualnym, kończyło się nieraz na facecjach Kostrzewskiego. Kostrzewski w swoich pracach był zawsze sobą. Jego typy są typami tylko Kostrzewskiego o charakterze wybitnie swojskim. Około roku 1858 wyszły szkice i obrazki Wacława Szymanowskiego z rysunkami Kostrzewskiego wydane przez Ungra, następnie „Wolne żarty".

Dla lepszej charakterystyki przytaczamy własne słowa Kostrzewskiego z „Pamiętnika" jego, wydanego przez Lewentala: „*Obrazów i obrazków tysiące namalowałem; o ile zatem z jednej strony obfitość ta na pochwałę* zasługuje, o tyle z drugiej na wykończeniu szwankuje. Tu muszę moje wyznanie wiary co do sztuki zanotować. Kocham sztukę i za nic w świecie nie chciałbym być kim innym, jak malarzem. Widząc naokoło takie mnóstwo artystów, a sam nigdy na mistrza nie pozując, przyznaję się że całe to moje malarstwo jakoś z amatorstwa trochę traktuję. Temperament, niepoprawnie żywy, nie dał by mi długo nad jedną robotą ślęczyć; najudatniejsze moje roboty są te, które łatwo, a więc prędko wykonywałem. Ile razy staranności dokładałem, zawsze nie tęgo na tem wychodziłem. Obrazy też moje nie mogłyby wytrzymać surowszej krytyki. Żyć jednak z procederu malarskiego, komu tak opatrzność kazała, trzeba, i jako doświadczony z ręką na sercu powiem, że można, ale trzeba przedewszystkiem być zabawnym, to jest tworzyć rzeczy małe, wesołe, tanie i na czasie. Dzięki takiemu postępowaniu, można z dnia na dzień jakoś przeżyć, ale trzeba od czasu do czasu, na imieniny palnąć darmo temu lub owemu jakieś powinszowanko ilustrowane, dziwnie uprzejme i delikatne. Karykatura winna być przyjemną, to jest o ile można ładniejszą, a podobną i jak najgrzeczniejszą. Broń Boże ośmieszać, tylko basować co wlezie".

Tak pisał niegdyś zmarły dziś artysta-rysownik. Słowa te, być może, były wówczas tylko wyrazem „świętej prostoty". Atoli, obecnie, w obliczu świeżej mogiły, nabierają one osobliwego smaku gorzkiej ironji, jako niezaprzeczony dokument dni ubiegłych, a kto wie? niestety, może i dzisiejszych...

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Wojna.* Nagłe wypowiedzenie wojny, najazd Włoch na Trypolis, pościg za flotą turecką, bitwa pod Prevezą, gwałtowne tempo wypadków w związku ze sztywną postawą mocarstw, dalekich od chęci zażegnania zbrojnego starcia — to wszystko wywarło tu niezwykle silne wrażenie, skłaniając organy prasy do daleko idących przypuszczeń i przewidywań.

Kurjer Poranny powiada:

> Europa stoi w przededniu ważnych wypadków... Zajęcie Trypolisu przez Włochy tworzy wstęp do całego szeregu zawikłań na tle jednej z najniebezpieczniejszych kwestji europejskich, a mianowicie na tle sprawy wschodniej. „Chory człowiek" znowu stracił skutkiem amputacji część ciała, do spadku po nim zgłoszą się teraz także inni pretendenci, mający do niego od wieków rozmaite roszczenia.

Co się tyczy źródeł całego zajścia i bezpośrednich powodów akcji włoskiej w Afryce w związku ze sprawą marokańską — kwestja przedstawia się, zdaniem *Kurjera Porannego*, dość jasno:

> Dyplomacja włoska sobie tylko przypisuje zasługę zręcznego wyzyskania stanu rzeczy wywołanego przez energiczną postawę Francji wobec Niemiec. Według tej wersji Niemcy zdumione energją, jakiej nie spodziewały się znaleźć we Francji i która sprawiła bardzo silne wrażenie i w Rzymie, zrozumiały konieczność utrzymania trójprzymierza za wszelką cenę. Dlatego nie śmiały sprzeciwiać się wyprawie na Tripolis, wiedząc, że to ostatecznie rozerwałoby trójprzymierze i rzuciło Włochy w ramiona Francji. Dlatego także zdecydowały się poświęcić całą swoją politykę turecką. W Rzymie zachwyceni są raczej stanowiskiem Francji, która gorąco popiera tripolitańskie plany Włoch. Prasa włoska istotnie niesłychanie zimno rejestruje głosy dzienników berlińskich, pełne niepokoju i cichych wyrzutów.

Gazeta Warszawska stwierdza wielką doniosłość chwili obecnej, brzemiennej w skutki epokowej, nieobliczalnej wagi.

> Jeżeli dojdzie do wojny na półwyspie Bałkańskim, jeżeli Włochy będą szukały sojuszników wśród państw bałkańskich, to wojna włosko-turecka stanie się wojną pierwszorzędnej wagi, bo wyprowadzi na porządek dzienny całą kwestję Blizkiego Wschodu. Wtedy powstaje pytanie, jakie stanowisko zajmą Austrja i Rosja, dwa mocarstwa najbliżej w tej kwestji zainteresowane...
>
> Trzeba sobie tedy powiedzieć, że wszczęta obecnie wojna włosko-turecka, o ile nie będzie przecięta w samym początku, może stać się początkiem jednego z największych konfliktów w Europie. Wszystko zależy od tego, jak daleko sięgają zamiary włoskie i jakie zamiary miały mocarstwa zachodnie, dając Włochom „carte blanche" do wszczęcia akcji o Trypolitanję.

Goniec nie wierzy w możliwość zlokalizowania wojny na brzegu afrykańskim i przewiduje nieunikniony wybuch powszechnej zawieruchy.

> Niepodobna przypuszczać, że wojna zostanie na tym terenie zlokalizowana. Ostatnie telegramy przynoszą wiadomość, że rząd turecki pozbawił Włochów wszelkich przywilejów, z których korzystają osiadli w Turcji Europejczycy i zamierza stosować wobec nich różne represje. Wobec nastroju ludności muzułmańskiej represje te mogą w różnych miejscowościach przybrać charakter rzezi i pogromów nietylko Włochów, ale i innych Europejczyków. To znów zmusi Włochów do wystąpienia i na innych terytorjach tureckich, gdzie, o ile będą mieli do czynienia

z armją turecką, nie jeden jeszcze twardy orzech zgryźć będą musieli. O gwałty zaś, popełnione na obywatelach innych państw, będą się musiały państwa te upomnieć.

Dziennik Powszechny stawia przed oczy czytelnikom wizje „wojny świętej" odrodzonego Islamu z chrześcijańską Europą.

> Swiat muzułmański drgnął. Zbudził się. Hasła wojny świętej rozległy się gromkim echem wśród stukilkudziesięciu miljonów mahometan Europy, Azji i Afryki. Liberalizm młodoturecki, importowany z Europy, poniósł porażkę. Starzy ministrowie Abdul-Hamida wystąpili na scenę. Said-pasza został wielkim wezyrem, a polityczny przeciwnik jego, sędziwy Kiamil-pasza, objął tekę ministra spraw zagranicznych. Wrogowie pogodzili się. Obaj wypróbowanej zręczności mężowie stanu tureccy ujęli rządy a sekunduje im słynny Mahmud Szefket-pasza, w charakterze dotychczasowym ministra wojny. Znalazł się w gabinecie również i Hilmi-pasza.

Wypadki bieżące dały pochop niektórym publicystom do sławienia teorji „mocy" i szydzenia z idei pacyfistycznych. Ten pogląd spotkał się ze słusznym i stanowczym potępieniem ze strony zachowawczego *Kurjera Polskiego*, który wiarę swoją w postęp idei pokoju tymi uzasadnia słowy:

> Duch Bismarcka rzucił cień ponury na umysły współczesne, ale tryumf jego musi minąć, bo on przeczy nauce proroków, sprzeciwia się ofiarom męczenników, staje jako zapora cywilizacji, uledz musi pochodowi Ludzkości naprzód. A pochód ten jawnie odbywa się w kierunku pokoju i wolności. W tym też kierunku leży odrodzenie i szczęście narodów.
>
> Stanowisko samolubstwa narodowego jest stanowiskiem Hakatystów, ludzi, którzy pożądają gnębienia i duszenia.
>
> Z nimi walczy lepsza część każdego narodu, nietylko pragnie panowania sprawiedliwości, ale pracuje, aby panowanie to zbliżyć, przyśpieszyć. Czyż nie należy łączyć się z takimi usiłowaniami, czy nie należy popierać ich z całej mocy swojej, z zapałem, z wytrwałością? To sprawa wszechludzka, ale też to sprawa polska. Wojna pogłębić może jedynie niedolę naszą, zorza sprawiedliwości międzynarodowej *musi* osłabić krzywdy nasze i usunąć je kiedyś. Żaden naród w Europie nie ma tak wielkiego interesu, tak pilnej potrzeby nadejścia ery sprawiedliwości, jak my, jak Polska.

Rzecz prosta, że w *Gazecie Warszawskiej* inne panują przekonania. Tutejsi czciciele Macchiavelli'ego i Bismarka nie mają dość słów potępienia dla sfer postępowych, które ściśle łączą sprawę polską ze sprawą pokojowego współżycia narodów i zupełnego ich równouprawnienia. Ostatnio padła stamtąd w naszą stronę taka apostrofa:

> Doprawdy, niema nic wstrętniejszego nad ten „mieszczański" światopogląd burżuazji narodu słabego, niema nic bardziej ciasnego i wypaczonego nad umysłowość t. zw. „postępowej inteligencji".

Wojowniczemu publicyście, którego występ przeczyliśmy w powodzi innych artykułów, odpowiedział L. Straszewicz w *Słowie* z pobłażliwą ironją:

> Myślę, że poszukawszy troszeczkę tylko, możnaby znaleźć i na świecie i w Polsce coś nieco chociaż wstrętniejszego, a może i coś znacznie wstrętniejszego, niż poglądy mieszczańskie inteligencji naszej.

„Przesada to wróg groźny i złośliwy" — kończy L. Straszewicz dobrotliwie.

* *Walka o szkołę w Belgji.* Pod powyższym nagłówkiem pomieszczają łódzkie *Wiadomości Marjawickie* artykulik o wpływach przemożnego w Belgji kleru na sprawy oświecenia publicznego.

Oto nader przykre wyniki „zbożnych" rządów belgijskiej czarnej międzynarodówki.

> Rezultaty jej rządów już unaoczniły się.
>
> Rezultaty to straszne: analfabetyzm, dochodzący do 20 proc., nizki poziom umysłowy mas, wreszcie ogólna bierność i poddanie się nieznośnym warunkom życia. Bierność ta obejmuje wszystkie klasy społeczeństwa belgijskiego, zarówno mieszczan liberalnych, którzy klerykałom potrafili przeciwstawić tylko czcze frazesy, jak i klasę robotniczą, która po bohaterskich wysiłkach 1902 roku uległa ogólnej reakcji i utraciła w bezczynności szersze horyzonty myśli. Dopiero w ostatnich latach daje się odczuwać pewien budzący się zaledwie ruch umysłowy w masach ludowych. W znacznym stopniu ruch ten wywołała sprawa nieszczęśliwego Ferrera.

Z prasy rosyjskiej.

* Warszawski korespondent *Rieczy* p. M. Dubrowskij komentuje tymi słowy wyrok skazujący A. Niemojewskiego na rok twierdzy za „*Objaśnienie katechizmu*": „Wódz antyklerykalizmu polskiego, redaktor pisma, poświęconego ciężkiej i niezawsze bezpiecznej walce z potęgą kościoła urzędowego, w tej niewielkiej książce zwraca się przedewszystkim do szerokich mas ludowych. W formie przystępnej i nieco szorstkiej usiłuje wyjaśnić, że podręczniki religji, z których kształci się w Polsce całe młode pokolenie... nie są ani wytworem, ani źródłem żywego uczucia religijnego. To wszystko — powiada Niemojewski — co mieści się w katechizmach — nie jest religją.

Katechizm kłóci się z etyką, znieprawia dusze ludzkie, wywołuje walki i rozterki domowe, budzi nienawiść do bliźnich, utrwala niewolę ducha, mrok, barbarzyństwo. I nie z religją w danym wypadku walczy Niemojewski, a z potęgą ciemnoty, szerzonej przez oficjalistów rzymskich.

Rzym ukuł tu kajdany, nałożył je na wolnego ducha Polski, więc idziemy społem przeciw Rzymowi — woła Niemojewski — my wszyscy ludzie myśli niepodległej, drwiąc z jego papierowych gromów i przekleństw jałowych. Podejmując rozbiór krytyczny popularnego katechizmu ks. Sokolika A. Niemojewski apelował niejako do zdrowego rozsądku i bezpośrednich instyktów dobra i prawdy w swoim społeczeństwie.

Jakkolwiek ten krok — stwierdza M. Dubrowskij — wywołał narazie wrzawę niechęci i oburzenia ze strony klerykalnych moralistów w Polsce, osiągnął on cel zamierzony. Jak słychać, katechizm ks. Sokolika został ze szkół wycofany, a w obozie klerykalnym najlepsze siły pracują nad ułożeniem innych, doskonalszych formuł etyki religijnej. Mimo to Niemojewskiemu wytoczono proces i skazano go na rok twierdzy. Klerykaliści cieszą się, ale z pewną rezerwą, która mówi. „Nie my szykanujemy głosiciela myśli wolnej, jeno władze rosyjskie!"

„Gdyby nie Galicja — zauważa Dubrowskij — możnaby istotnie przypuścić, że myśl wolną w Polsce gnębi sama jedna policja rosyjska. Aliści wiadomo wszystkim, że właśnie Galicja pierwsza wystąpiła z szeregiem szykan sądowych przeciw Niemojewskiemu, ostatnio zaś władze tamtejsze skonfiskowały tom nowel pani Walewskiej, dzieło, które w Europie jednej tylko policji rosyjskiej mogłoby się wydać podejrzanym".

KRONIKA.

POMNIK SZOPENA.

Od Komitetu budowy pomnika Chopina w Warszawie otrzymujemy odezwę następującą:

Po licznych, nieprzewidzianych, a od komitetu budowy pomnika niezależnych trudnościach, p. prezydent miasta przesłał w dniu wczorajszym komitetowi budowy pomnika zatwierdzony przez p. ministra spraw wewnętrznych projekt pomnika Chopina p. Wacława Szymanow-

skiego, odznaczony pierwszą nagrodą na konkursie, odbytym w dniu 30 maja 1909 r.

Dziś, gdy wystawieniu pomnika już nic nie stoi na przeszkodzie, od społeczeństwa tylko zależy doprowadzenie od skutku oddania hołdu polskiemu genjuszowi.

W uczczeniu Chopina monumentami byli już inni, którzy nas wielokrotnie wyprzedzili. Nie nasza w tym wina. Dziś też tym śpieszniej wziąć się powinniśmy do urzeczywistnienia dawno już powziętego postanowienia. Znaczną część funduszu, bo więcej niż połowę, już zebrano.

Prawda, że kraj nasz ma potrzeb rozlicznych ogrom — ale i ta nie jest ostatnia. Konieczna dla uzupełniania całości suma, rozłożona na szerszy ogół, mamy tę nadzieje, zbierze się bez trudu. W pół drogi nie staniemy i spłacimy dług wdzięczności względem tego, który pieśnią polską przemówił do wszystkich ludów ziemi, dziełami swego genjusza wiecznie przypominać będzie światu o Polsce, który wyśpiewał jej dzieje.

NIEBYWAŁY NAPAD. Pozaprzeszłego tygodnia oddziałek kaukaskich socjalistów-rewolucjonistów dokonał nieudałego, a niesłychanie zuchwałego napadu na zbrojownię twierdzy Kercz.

KONFERENCJA „POLSKIEGO STRONNICTWA POSTĘPOWEGO" W GALICJI. Krajowa komisją wyż. nadmienionego zrzeszenia odbyła w dniu 10 z. m. I-e swe zebranie po wywczasach letnich.

Po dyskusji kilkogodzinnej, w której brali udział: pp. rektor Pawlewski, poseł Śliwiński, prof. Rehman, inż. Sikorski, red. Laskownicki, prof. Janik, dr. Aschkenase, radca Bogdanowicz — powzięto następujące uchwały:

1. Polskie Stronnictwo Postępowe protestuje przeciw usiłowaniom udaremnienia jesiennej sesji sejmowej i wzywa posłów demokratycznych i ludowych o dołożenie starań, ażeby Sejm jaknajrychlej został zwołany i by sprawa reformy ordynacji wyborczej w duchu 4-przymiotnikowego prawa głosowania jeszcze w tym roku bezwarunkowo przeprowadzoną została, w przeciwnym razie domagać się należy rozwiązania Sejmu i odwołania się do wyborców.

2. Polskie Stronnictwo Postępowe domaga się bezwarunkowego i zupełnego wykonania ustawy państwowej z roku 1901, o budowie dróg wodnych i protestuje przeciw wszelkim próbom zachwiania jednolitej i ustalonej w tej sprawie opinji publicznej kraju, przez skierowanie uwagi ku szczegółom technicznym, które nie mogą w żadnym wypadku stwarzać pozoru do odrzucania sprawy natychmiastowej budowy dróg wodnych, ani do odstępywania od wykonania obowiązującej ustawy.

3. Krajowa komisja wykonawcza poleca zarządowi naczelnemu poświęcenie całej uwagi sprawie ugody polsko-ruskiej, zebranie materjałów dla studjów od tej sprawy i pobudzenie opinji publicznej do czujnego przygotowania tego dzieła oraz współdziałania w pracach wstępnych, w tym celu przeprowadzenie wywiadu za pośrednictwem tygodnika *Życie* i uproszenie do tejankiety powołanych osobistości z obu narodów.

4. Polecono też wydziałowi naczelnemu, by do współdziałania w sprawach powyższych powołał koła miejscowe na prowincji i powzięto cały szereg uchwał natury organizacyjnej i administracyjnej.

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO. Losy *Słownika języka polskiego*, wydawanego w chwili obecnej pod redakcją pp. Jana Króla i Władysława Niedźwiedzkiego, silnie są zachwiane. Sprawcą tego nieszczęścia (doprawdy nieszczęścia) jest własne rodzime społeczeństwo, które stale odmawia mu swej pomocy. Daleko już po za nami snadź są te czasy, kiedy Linde na foljałach swej pracy umieszczał napisy: „Jaśnie Oświeconemu Xiążęciu Adamowi Czartoryskiemu, generałowi etc." „Jaśnie Wielm. Jegom. Panu Stanisławowi hrabi Ordynatowi na Zamościu Zamoyskiemu" i t. d., kiedy na podtrzymanie wydawnictwa Lindego puszczano na loterję najpiękniejszych wierzchowców, kiedy na liście przedpłatników obok nazwisk najwyższych dostojników widzimy instytucje państwowe i społeczne. Bo ukazanie się w Polsce Słownika Lindego przyjęto jako wybitny wypadek w życiu narodu, bo wiedziano, że potęga słownika języka rodzimego sięga wszelakich dziedzin, że słownik jest inwentarzem najwyższych dóbr narodowych — mowy rodzimej. Sto lat mija od tej chwili, gdy Kazimierz Brodziński rymem opisywał okończenie Słownika, gdy na specjalnie wydanej uczcie Towarzystwo Przyjaciół nauk Warszawskie wieńczyło Słownik Lindego gałązkami wawrzynu, gdy z rąk namiestnika Królestwa Polskiego Józefa Zajączka autor słownika otrzymał wielki medal złoty, na cześć jego wybity, z napisem: „Za Słownik Polskiego Języka — Ziomkowie 1816", gdy znakomici pisarze Ossoliński i Stan. hr. Potocki ofiarował mu swe dzieła.

Sto lat — to wielki okres, żywość uczuć narodu osłabić nie może w tak długim życia etapie.

Budujemy nowy „Słownik", sześć razy większy od Lindego, obejmujący sześć wieków piśmiennictwa polskiego. A choć nazwano go wydawnictwem pomnikowym, choć przeorano znakomitą już część pola, choć praca jest na ukończeniu, los tego wydawnctwa u podstaw jest zagrożony.

Redakcja „Słownika", przystępując do wydania zeszytu bieżącego, którngo koszt wynosi z górą 2,000 rubli, posiada w kasie 333 rb. zapomogi z kasy im. Mianowskiego.

Zestawmy te dwie pozycje i w sezonie ożywionych wyścigów jesienych zechciejmy wyprowadzić właściwe wnioski. Nie zapominajmy tylko jednego, że wywłaszczają juz nas ze wszystkiego, a więc i z mowy rodzimej Redakcja „Słownika" potrzebuje prenumeratorów i ofiar

PRZYPUSZCZALNE KOSZTY WOJNY. Wobec niebezpieczeństwa, że zatarg o Maroko doprowadzi do zbrojnego starcia między Niemcami i Francją, oficer francuski Lauth zadał sobie trud obliczenia, z jakimi kosztami byłaby połączona dla obu krajów interesowanych ta wojna. Ze szczegółowych jego obliczeń, ogłoszonych w *Journal des sciences militaires* wyjmujemy cyfry następujące:

Koszt dzienny utrzymania armji francuskiej po przeprowadzeniu mobilizacji wynosi 30,652,500 franków; Niemcy, których armja jest cokolwiek większa, wydawałyby dziennie 36,630,000 marek. Nie uwzględniono przytym zapasów. W razie powołania landwery i pospolitego ruszenia, koszt dzienny utrzymania armji niemieckiej podniósłby się do 76,900,000 marek.

Wojna niemiecko-francuska, która trwałaby tylko jeden miesiąc — co wcale nie jest prawdopodobne,—kosztowałaby Francję blisko miljard franków, ściśle 918,375,000. Niemcy zaś 1,098,906,000, względnie 1,307,000,000 marek. Na wojnę, która przeciągnęłaby się przez rok cały, Francja musiałaby wydać 11,020,500,000 franków, — Niemcy zaś bez powołania pospolitego ruszenia 13,186,800,000 z powołaniem pospolitego ruszenia wydadzą 27,684,000,000 marak.

Nie uwzględnione są w tym obliczeniu straty, spowodowane działaniem wojennym na objętym wojną obszarze kraju, koszty akcji wojennej na morzu i olbrzymie straty w handlu i przemyśle. W każdym razie wojna byłaby zupełną ruiną dla państwa, które nie rozporządza dostatecznym kapitałem własnym lecz opiera się na kredycie. Wobec tych liczb zrozumiałe jest przypuszczenie, że Niemcy dla braku gotówki nie zdołaliby przeprowadzić z Francją wojny, która przeciągnęłaby się przez czas dłuższy.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy” wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb.8,z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**

Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.